MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK IX. Nr 27 WARSZAWA, 30 CZERWCA 1929 R. CENA NUMERU 80 gr.

TRAKTAT WERSALSKI

TRAKTAT wersalski, podpisany dnia 28 czerwca 1919 r., jest aktem międzynarodowym, przywracającym Polsce jej niepodległość państwową i określającym zachodnie granice naszego państwa. Aby rezultat ten mógł być osiągnięty, aby cały prawie zabór pruski mógł być z powrotem oddany pod zwierzchnictwo Państwa Polskiego, dwa istotne warunki były do spełnienia. Po pierwsze musiały być Niemcy pobite na głowę przez państwa z niemi wojujące, gdyż tylko zwyciężonych można było zmusić do oddania zrabowanych w XVIII wieku ziem polskich. Po drugie Polska musiała podczas wojny światowej wystąpić orężnie przeciwko Niemcom, gdyż to stawiało ją w rzędzie państw sprzymierzonych i dawało jej tytuł i prawo do uczestniczenia w korzyściach zwycięstwa. Jeśli do spełnienia pierwszego warunku, t.j. do pokonania Niemiec, Polska, pozbawiona własnego państwa i gotowej armji, tylko w słabej stosunkowo mierze przyczynić się mogła, to wykonanie drugiego warunku, choć niewątpliwie trudnego, nie wykraczało poza jej możliwości. Komitet Narodowy Polski, który z chwilą wybuchu wojny oświadczył się stanowczo po stronie koalicji antyniemieckiej, możliwość tę zrealizował. Wprawdzie na wschodzie próby stworzenia wielkiej armji polskiej w chwili rozpadania się frontu rosyjskiego zostały fatalnie zmarnowane, ale i tam, nad Dnieprem, w bitwie Kaniowskiej korpus polski stoczył krwawą walkę z Niemcami. Zato na zachodzie, we Francji, Komitet Narodowy stworzył armję polską, dobrze wyćwiczoną i uzbrojoną, która miała szczęście pod własnemi sztandarami u boku wojsk sprzymierzonych potykać się ze wspólnym wrogiem i przelewać krew za ojczyznę. Dzięki tej armji Polska uznana została za wojenną sojuszniczkę mocarstw sprzymierzonych, a Komitet Narodowy, uznany za oficjalne przedstawicielstwo Polski, uzyskał prawo do uczestnictwa w obradach Kongresu pokojowego i do podpisania warunków pokoju z Niemcami i ich sojusznikami.

Z różnych umów międzynarodowych, które się złożyły na powstanie Państwa Polskiego w dzisiejszych jego granicach, za najważniejszą uznać musimy Traktat Wersalski. Nietylko dlatego, że był on pierwszym z kolei i że przywracał nam niepodległość państwową. Jakaś niepodległa Polska mogła była powstać nawet w razie wygranej Niemiec, a w każdym razie przy niezdecydowanym wyniku wojny. Przecież wszechniemiecki plan urządzenia świata po uzyskaniu zwycięstwa w wywołanej wojnie, przewidywał był utworzenie nibyto niezawisłej Polski, związanej unjami celnemi i wojskowemi sojuszami z imperjum niemieckiem.

Naturalnie do takiej Polski nie miały wchodzić ziemie b. zaboru pruskiego, a nawet zabór ten powiększyć się miał przez wcielenie do Prus znacznej części b. Królestwa Polskiego. Istotne znaczenie Traktatu Wersalskiego dla nas leży w tem, że Polska odebrawszy, choć nie w pełnym składzie, Wielkopolskę i Pomorze z własnem wybrzeżem morskiem, uzyskała podstawę do stworzenia wielkiego i naprawdę niepodległego Państwa. Bez tych zachodnich starych ziem piastowskich, bez oparcia się o Bałtyk, bez posiadania całego biegu Wisły aż do jej ujścia, Polska nie mogłaby się ostać ani dojść do należnego jej mocarstwowego stanowiska. To też Traktat Wersalski jest prawnym fundamentem naszego bytu i rozwoju. Z tego punktu widzenia należy oceniać politykę Polskiego Komitetu Narodowego, opierającą plan odbudowania Państwa Polskiego na klęsce wojennej Niemiec.

Wiele z różnych stron podniesiono zarzutów przeciwko postanowieniom Traktatu Wersalskiego. Za niewątpliwie słuszny musimy uznać ten zarzut, iż traktat pokojowy z Niemcami nie wyzyskał należycie zwycięstwa, odniesionego kosztem tylu krwawych i niekrwawych ofiar i że nie ustanowił trwałych i rzeczowych gwarancyj pokoju światowego. Liga Narodów, stworzona postanowieniami tego traktatu, nie jest i nie może być dostateczną rękojmią, zapobiegającą próbom niemieckiego odwetu. Różne niedociągnięcia i niedomówienia, jakie znajdujemy w Traktacie Wersalskim, pozostawienie wielu kwestyj w stanie wątpliwym i spornym, ośmielają Niemcy do sabotowania zwycięstwa i podważania dzieła pokoju. Z naszego punktu widzenia mielibyśmy też prawo skrytykowania pewnych postanowień Traktatu Wersalskiego. Nie wszystkie słuszne nasze żądania zostały tam uwzględnione. Gdańsk nie został włączony do naszego terytorjum państwowego, stworzono z niego wolne miasto, a Berlin czyni ciągłe usiłowania, aby je na niepodległe państewko przekształcić. Narzucono nam cały szereg zawodnych plebiscytów — na Mazurach Pruskich, w Warmji i na Górnym Śląsku, zamiast te ziemie poprostu przyłączyć do Polski. Prus Wschodnich nie odłączono od państwa niemieckiego i stworzono przez to źródło bardzo poważnych i niebezpiecznych dla pokoju światowego komplikacyj. Wszystkie te braki i niedociągnięcia, które mamy do zawdzięczenia intrygom jawnych i ukrytych czynników międzynarodowych, nie chcących dopuścić do utrwalenia wielkiego i silnego Państwa Polskiego, stwarzać będą przez długi jeszcze czas poważne trudności dla naszej polityki zagranicznej i wewnętrznej. To jednak, cośmy dzięki mądrej polityce Dmowskiego i jego współpracowników w Komitecie Narodowym, uzyskali w Traktacie Wersalskim, daje Polsce możność skutecznego przezwyciężenia tych trudności. Odebranie ziem zaboru pruskiego, oparcie się o Bałtyk, to jest kamień węgielny budowy terytorjalnej wielkiego państwa polskiego. Tej podstawy, którą nam przyznał Traktat Wersalski, a którą dziś dzierżymy z mocy własnego prawa, z tytułu udzielności i zwierzchnictwa, nie wolno nam w niczem umniejszyć ani osłabić. Przeciwnie. Podstawa ta powinna być umocniona i rozwinięta, a zamachy i intrygi naszych wrogów muszą być unicestwione. Takie nas czeka zadanie. Jeśli je sumiennie i należycie spełnimy, damy dowód, żeśmy zwycięstwa, odniesionego przed dziesięciu laty w Wersalu, nie zmarnowali, lecz je skutecznie dla przyszłości naszej Ojczyzny wyzyskali. To będzie najlepszym hołdem dla tych, którzy naród nasz wówczas prowadzili do zwycięskiej walki o odbudowanie wielkiego i silnego Państwa Polskiego.

JOACHIM BARTOSZEWICZ

TRAKTAT I JEGO WYKONYWANIE

JEDNO z bardziej zajmujących, a nawet bardzo istotnych pytań, wiążących się z Traktatem Wersalskim, jest niechybnie takie:

— Czy traktat był niedobry, czy niedobre było i jest wykonanie Traktatu?

Nie o tem tu mowa, że w Traktacie są oczywiście, jak być musiały, niedociągnięcia. Wynikały one zresztą wcale nietylko z t. zw. niedopatrzeń, czyli z niedość trafnego przewidzenia wszelkich możliwości, co zawsze się dzieje i co jest już związane z właściwościami umysłu ludzkiego. Wynikały one także z gry sił, które ścierały się wśród samych Sprzymierzonych, układających Traktat, boć wiadomo, że pogląd p. Clemenceau i pogląd Prezydenta Wilsona i pogląd p. Lloyd George'a to nie był wcale jeden pogląd, ale trzy różne poglądy często w sprawach bardzo ważnych, a nawet właśnie w sprawach bardzo ważnych. Wyjście, znalezione jako zgodne, niezawsze było wyjściem w najlepszą stronę. Więc niedociągnięcia trzeba przyjąć zgóry jako nieuniknione.

Ale biorąc Traktat taki jaki jest, czy widzi się, że on nie dał dobrych podstaw działania, czy też widzi się raczej, że z tych podstaw schodzi się samochcąc.

Otóż na to pytanie odpowiedź najlepszą i najpewniejszą daje sam przebieg zdarzeń po Traktacie właśnie w dziedzinach najważniejszych. Czy Sprzymierzeni stanęli kiedykolwiek wobec tej trudności, że nie mogą czegoś uzyskać, czemś się zabezpieczyć, coś uczynić, dlatego że nie mają podstawy w Traktacie? Takiego zdarzenia nikt przytoczyć nie zdoła, a tymczasem ciągłe niemal doświadczenie w tem dziesięcioleciu wskazuje, że nie dociągano wykonania Traktatu do istotnej treści jego postanowień.

*

W zakresie spraw ogólnych, dotyczących wszystkich sprzymierzonych, doświadczenia te obejmują przedewszystkiem tak doniosłe dwie sprawy, jak rozbrojenie Niemiec i odszkodowania.

Więc naprzód rozbrojenie.

Traktat Wersalski, w swej części V-ej, określił dokładnie warunki rozbrojenia Niemiec na lądzie, morzu, powietrzu (art. 159 do 202), następnie ustanowił Międzysojuszniczą Komisję Nadzoru nad przeprowadzeniem całości tych rozbrojeń (art. 203 do 212), a wreszcie przewidywał dodatkowo na przyszłość możność badań w tym kierunku ze strony Ligi Narodów w każdym czasie (art. 213), co wszystko zabezpieczone było oczywiście sankcjami Traktatu (art. 428 do 443) w razie niespełniania zobowiązań.

Ale, po przeprowadzeniu układów w Locarno w r. 1925, oraz po wejściu w związku z tem Niemiec do Ligi i do Rady Ligi w r. 1926, powiedziano sobie, że dwa duchy, mianowicie... duch Locarna oraz... duch Ligi, będą napewno zadowolone, jeżeli nadzór nad rozbrojeniem przeniesie się do Ligi, a zniesie się tę brzydką Międzysojuszniczą Komisję Nadzoru, siedzącą w Niemczech i tam patrzącą Niemcom na palce. Dociągnięto zatem rzeczywistość do niechybnej woli tych dwu duchów. Naprzód tedy zebrano w listopadzie i grudniu 1926 Radę Ambasadorów, aby stwierdziła, że wszystkie zobowiązania rozbrojeniowe Niemiec zo-

stały spełnione, bo Komisja miała działać aż wszystkie będą spełnione, a Rada Ambasadorów, pchana w tym kierunku, uczyniła zadość życzeniu, ale musiała, wskutek wdania się Marszałka Foch'a, zaznaczyć przynajmniej, że sprawa wyrobu materjałów wojennych i sprawa twierdz wschodnich, Królewca, Kistrzynia i Głogowa, zwróconych przeciw Polsce, nie jest jeszcze załatwiona. Mimo to w grudniu r. 1926 w Genewie porozumiano się tak, że w każdym razie Międzysojuszniczą Komisję Nadzoru znosi się od 31-go stycznia 1927, do tego czasu Rada Ambasadorów jakoś załatwi z Niemcami twierdze wschodnie i materjały wojenne, a gdyby nie, to i ta sprawa przejdzie do Ligi i do jej Komisji Inwestygacyjnej. Po tem przesądzeniu sprawy, w ciągu stycznia 1927 załatano sprawę materjałów i twierdz, a od 1-go lutego 1927 niema Komisji Nadzoru w Niemczech.

Od tego czasu nikt nic nie wie o zbrojeniach w Niemczech. Wszyscy wiedzą zupełnie napewno tylko jedno, mianowicie, że Niemcy się zbroją, a od czasu do czasu to gazy wybuchną w Hamburgu, to jakiś psotnik komunistyczny położy socjalistycznemu kancelarzowi p. Müllerowi na stole w Reichstagu granat, wyrobiony tajnie wbrew zakazowi traktatowemu. Ale o tem się nie mówi, bo tak już sobie postanowiono, aby duchom sprawić przyjemność. A o Komisji Inwestygacyjnej Ligi wiadomo, że nawet gdyby ją uruchomiono, nic nie zrobi.

Wszakże w tej sprawie poprostu odsunięto Traktat Wersalski. A bardzo i bardzo niesłusznie i nieroztropnie. Bo nikt nie wątpi, że Niemcy nietylko się zbroją, ale nawet zbroją się bardzo umiejętnie, nowemi sposobami, gazowo, dzisiaj się zamyka oczy i zatyka uszy, by o tem nic nie wiedzieć i nie psuć sielanki, ale kiedyś to się zemści.

A odszkodowania?

Dotychczasowy przebieg sprawy jest taki, że w Traktacie Wersalskim dział V-ty wkłada na Niemcy odpowiedzialność za wszystkie szkody i straty oraz ustala podstawy odszkodowań, znowu z sankcją okupacji, że w czasie Konferencji Pokojowej w r. 1919 oceniono odszkodowanie w wartości płatnej zaraz na 140 do 200 miljardów marek złotych, a w rozłożeniu na raty odpowiednio więcej, w r. 1921 ustaliła je Komisja Odszkodowań na 132 miljardy m. zł. płatne zaraz, że Plan Dawes'a ustalił w r. 1924 raty 2 miljardy 500 miljonów rocznie bez zmiany wysokości, a obecnie, 1-go czerwca 1929, komisja znawców sprowadziła wysokość długu w obliczeniu zaraz do 36 miljardów 885 miljonów wzamian za zabezpieczenie, także nie bezwzględne, płatności.

Czy Traktat czynił sprzymierzonych rzeczywiście bezsilnymi w tej sprawie?

Gdy p. Poincaré objął rządy w r. 1922, a Niemcy nie płacili odszkodowań, zwrócił się do Komisji Odszkodowań, która dnia 9-go stycznia 1923 wedle aneksu 2-go o odszkodowaniach § 17 stwierdziła uchybienie Niemiec, poczem p. Poincaré wedle § 18 tegoż aneksu, który szeroko upoważnia do kroków przeciw Niemcom i odbiera im prawo uważania ich za kroki nieprzyjacielskie, w dwa dni po stwierdzeniu uchybienia, 11-go stycznia 1923, zarządził razem z Belgją zajęcie Essen i Zagłębia Ruhr'y, co potrwało do sierpnia 1925. Francja zapewniła sobie sama węgiel, jako świadczenie w naturze, którego Niemcy odmawiały, nadto zaś ta nauka zmusiła Niemcy do szukania wyjścia przez Plan Dawes'a z r. 1924.

Więc Traktat Wersalski i w tej dziedzinie dawał bardzo szerokie podstawy działania, a p. Poincaré udowodnił, że można na nich się oprzeć i że wyniki są dodatnie.

*

Podobnie było i w sprawach dotyczących Polski. Zwykle tak się działo, że usiłowano nam urwać coś z tego, co dawał Traktat Wersalski. A ponieważ korzystano oczywiście z chwili i wybierano ją tak, by Polska była w kłopotach, więc i my mamy doświadczenie w tym kierunku.

W sprawie Gdańska art. 104-ty Traktatu daje Polsce uprawnienie istotnie bardzo poważne, bo włącza Gdańsk w polski obszar celny, nakazuje zapewnić Polsce swobodne używanie bez żadnych zastrzeżeń, jak wyraźnie powiedziano, portu i wszelkich urządzeń portowych oraz swobodę ich rozwoju, daje Polsce zarząd kolei i żeglugi wiślanej oraz prawa pocztowe, nakazuje zupełne równouprawnienie obywateli polskich, powierza Polsce prowadzenie spraw zagranicznych W. M. Gdańska. Zapewnienie szczegółowe tych uprawnień pozostawia art. 104-ty Konwencji między Polską a Gdańskiem, zawartej w rokowaniach, kierowanych przez Główne Mocarstwa. Konwencję tę zawarto po kłopotach polskich z powodu pochodu wojsk bolszewickich na Warszawę, gdy stanowisko Polski wobec Mocarstw było osłabione, wskutek czego Konwencja ta z 9-go listopada 1920 nie wszystko z Traktatu dokładnie uwzględniła. I oto doszło się nawet do tak znamiennego zdarzenia, że Gdańsk począł twierdzić, iż Traktat już nie obowiązuje, tylko Konwencja, z czem p. Sahm i Wysoki Komisarz p. Macdonell wystąpili dnia 4-go lipca 1923 wobec Rady Ligi, która jednak w swej uchwale z 7-go lipca 1923 sprostowała to mniemanie.

Również w sprawie Górnego Śląska, w którym art. 88-my Traktatu Wersalskiego zarządził głosowanie ludności, dając w aneksie szczegółowe przepisy, kilkakrotnie spychano nas lub usiłowano spychać z Traktatu. Po pierwsze przeprowadził p. Lloyd George głosowanie sprowadzonych z Niemiec na głosowanie osób dawno tam nie zamieszkałych, grając sztucznie na określeniach Traktatu. Powtóre usiłował p. Lloyd George, już po głosowaniu, związać sprawę Górnego Śląska ze sprawą odszkodowań, gdy Traktat nigdzie nie uzależnia wysokości odszkodowań od pozostawienia Niemcom Górnego Śląska, co ostatecznie musiano uznać. Po trzecie wbrew wyraźnemu postanowieniu o głosowaniu i obliczeniu głosów gminami, usiłowano obliczać całość, chcąc w ten sposób nie dać Polsce tych części Górnego Śląska, gdzie miała ona większość, tak że ostatecznie wynik nie był całkowicie taki, jakiby się nam należał wedle obliczania dokładnie gminami.

Któż nie pamięta w Polsce, jak w sprawie Gdańska i w sprawie Górnego Śląska trzeba było poprostu żądać ustawicznie niczego więcej, jak tylko ścisłego wykonania Traktatu, który chciano w wykonaniu okroić?

Ale nawet sprawa granic, ustalonych w Traktacie Wersalskim, a mianowicie właśnie granic polskich, nie uszła próbom jakiegoś zachwiania tych podstaw.

Czemże bowiem są, w gruncie rzeczy, Układy w Locarno z r. 1925, jeśli nie usiłowaniem wprowadzenia sztucznego rozróżnienia między nienaruszalnością granic zachodnich a mniejszą nienaruszalnością granic wschodnich, gdy Traktat stawiał je zupełnie narówni?

W rzeczy samej Traktat Wersalski w art. 27 oznaczył granice zachodnią Niemiec i granicę wschod-

nią Niemiec zupełnie narówni. Niemcy też narówni podpisem swym przyjęły tę granicę. Nadto w art. 10-ym Traktatu Wersalskiego, t. j. w Pakcie Ligi, który jest właśnie wstępem Traktatu, wyraźnie ustalono, że członkowie Ligi poręczają sobie nienaruszalność obszaru, co Niemcy podpisali i co Rzeszę Niemiecką jako członka Ligi zobowiązuje równo na zachodzie i na wschodzie.

Tymczasem w układach w Locarno przeprowadziły Niemcy w sposób sztuczny rozróżnienie granic. Mianowicie w Pakcie Reńskim jeszcze raz uznały nienaruszalność granic zachodnich, a równocześnie odmówiły takiegoż uznania dodatkowego granic wschodnich. Oczywiście powtórne uznanie jest sztuczne, bo jest podpis pod Traktatem Wersalskim, ale Niemcy dały to powtórne uznanie właśnie na to, aby wytworzyć pozory przynajmniej różnicy, następnie przyzwyczajać powoli umysły w świecie do tej myśli, że jest jakaś różnica, a wreszcie w sposobnej chwili skorzystać z tego wprowadzenia wątpliwości w proste pojęcia i dobrać się do granic wschodnich.

Państwa, które były w Locarno, powinny były widzieć wszystkie, a Polska w szczególności, że głównym celem Niemiec jest wprowadzenie w nienaruszalności granic różnicy, której w Traktacie Wersalskim niema, ale wolano wywoływać duchy, niż pokazać Niemcom poprostu art. 27-my i art. 10-ty, w urzędowem wydaniu Traktatu Wersalskiego.

*

Wreszcie dzisiaj, zarówno wobec wszystkich Państw Sprzymierzonych jak wobec Polski, podjęły Niemcy usiłowanie obejścia postanowień Traktatu Wersalskiego w sprawie okupacji Nadrenji.

Art. 429-ty Traktatu mówi wyraźnie i dosłownie nawet o sprawie usunięcia okupacji w r. 1935, a cóż dopiero wcześniej:

— Jeżeli w owej chwili rękojmie przeciwko napadowi ze strony Niemiec bez zaczepienia ich nie będą uważane za dostateczne przez Państwa Sprzymierzone, opuszczenie przez wojska okupacyjne mogłoby być opóźnione w mierze uznanej za potrzebną celem uzyskania tych rękojmi.

Tymczasem obecnie Niemcy udają, że nie wiedzą o istnieniu tego postanowienia, oraz starają się wmawiać, że po porozumieniu w sprawie odszkodowań okupacja Nadrenji powinna być usunięta, gdyż miała ona zapewnić wykonanie zobowiązań Niemiec w tym zakresie. Na to im już odpowiedziano i we Francji i w Anglji, że oprócz odszkodowań jest także sprawa bezpieczeństwa, dla której art. 429 również wyraźnie ustanowił okupację. Niemcy odpowiadają, że z układów w Locarno wynika, iż one myśli zaczepnych nie mają. Ale w takim razie co znaczy wyróżnienie granic zachodnich i wschodnich, które Niemcy tak uparcie przeprowadziły w Locarno, oraz co znaczą ustawiczne od tego czasu, urzędowe także oświadczenia przeciwgraniczne z Polską?

Jest rzeczą jasną, że znowu, i to w sposób szczególnie rażący i w sprawie szczególnie doniosłej, zmierza się do ominięcia jednego z wielkich postanowień Traktatu Wersalskiego.

*

Jeśli przeto słyszy się niejednokrotnie narzekania na Traktat Wersalski, jako nie dający podstaw dostatecznych, należy zawsze dokładnie i ze wszystkich stron przyjrzeć się takim twierdzeniom. Przeważnie okaże się, że nie Traktat Wersalski jest ułomny, ale ułomne jest wykonywanie go. Przymyka się oczy pod rozmaitemi pozorami i w imię różnych dyplomatycznych mądrości, kluczy się tak i siak, aby obejść dokładne postanowienia Traktatu Wersalskiego, a w dodatku jeszcze się i wmawia w ludzi, że to Traktat jest niedobry.

STANISŁAW STROŃSKI

PRZED DZIESIĘCIU LATY

Z KONFERENCJI pokojowej, która się w r. 1919 odbyła w Paryżu, pozostało mi najsilniej wryte w pamięci wspomnienie czterech wydarzeń: przemówienia Bratianu w sprawie mniejszości, protestu marszałka Focha przeciw opuszczeniu przez Francję granicy Renu, wręczenia warunków pokoju delegacji niemieckiej, wreszcie podpisanie traktatu w Wersalu.

*

Plenarne posiedzenie konferencji w ministerstwie spraw zagranicznych na Quai d'Orsay. Przewodniczy, jak zwykle Clemenceau, mając po prawej stronie Prezydenta Wilsona, a po lewej Lloyd George'a. Dyskusja o sprawie ochrony mniejszości narodowych w „nowych" państwach. Wstaje Joel Bratianu. Ci, co znali premjera rumuńskiego, nie zapomną z pewnością nigdy jego wysokiej postaci, tchnącej powagą i zrównoważeniem. Mowa jego wygłoszona wówczas na Konferencji była prawdziwem arcydziełem sztuki dyplomatycznej. Zwracał się z szacunkiem do przedstawicieli wielkich mocarstw, w formie był niesłychanie łagodny i uprzejmy, lecz treść była jasna, wyraźna i — jak dziś już sądzić można—prorocza. Przestrzegał przed zbytniem wtrącaniem się w sprawy wewnętrzne państw, przepowiadał, że zbyt daleko idące uprawnienia czyjekolwiek w tym kierunku, staną się pretekstem do wywoływania zatargów i do osłabienia państw nowopowstałych lub powiększonych. Przytaczał przykłady zaczerpnięte z historji, pamiętam doskonale jak wykazywał, że obrona prawosławia i słowiańszczyzny była użytkowana przez politykę rosyjską... Mowa zrobiła duże wrażenie na zgromadzonych przedstawicieli mocarstw, a choć plenarne posiedzenia konferencji nie posiadały żadnego realnego znaczenia, to jednak prezydent Wilson uznał za konieczne rzucić na szalę powagę swej sytuacji na konferencji: swego słowa. Bratianu nie dał za wygraną — przemawiał po raz drugi i obstawał przy swej opinji. Był w tym punkcie nieprzejednany, wszak wolał złożyć mandat delegata na Konferencji, niż podpisać traktat o mniejszościach. Prezydent Wilson powoływał się wówczas (przypomniał to obecnie w „*Times*'ie" p. Chamberlain) na to, że wielkie mocarstwa, gwarantując nowy terytorjalny układ w Europie, muszą mieć pewność, iż „nowe" państwa będą postępowały sprawiedliwie ze

swemi mniejszościami. Dzieje ostatniego dziesięciolecia wykazują, iż Bratianu miał zupełną rację—o gwarancjach zapomniano, a politycy niemieccy i węgierscy wyzyskują już traktaty o mniejszościach dla swoich celów narodowych i państwowych.

*

Ostatnie posiedzenie plenarne Konferencji, także na Quai d'Orsay. Przed wręczeniem warunków pokoju delegacji niemieckiej, postanowiono zapoznać z temi warunkami przedstawicieli państw sprzymierzonych i stowarzyszonych. Wiadomo, że traktat układali w ciszy gabinetu, niemal w tajemnicy, przedstawiciele pięciu wielkich mocarstw. Delegaci innych państw, tych „o interesach ograniczonych" słuchali tedy z namaszczeniem p. Tardieu, który sprawę referował. Gdy wkońcu zapytał Clemenceau czy kto pragnie zabrać głos, nadspodziewanie dla wszystkich, nie wyłączając delegacji francuskiej i jej przewodniczącego, poprosił o głos marszałek Foch. Clemenceau nie ukrywał nawet swego niezadowolenia: a wzrastało ono w miarę tego, jak Foch mówił. Wódz Naczelny wojsk, które wygrały wojnę, zaprotestował przeciwko opuszczeniu Renu przez Francję; dowodził, że zgodnie z doświadczeniami dziejowemi tylko granica wojskowa na Renie dać może Francji, a więc i Europie bezpieczeństwo granic i gwarancję długotrwałego pokoju. Widzę Focha, jak wskazując na drzwi sali, w której odbywało się zebranie, wołał: „Jak panowie chcecie ochronić przed napastnikiem wejście do tego pokoju, to musicie mieć w swem posiadaniu drzwi, jeśli się usuniecie i oddacie drzwi, nic nie przeszkodzi, by napastnik wtargnął do wewnatrz".

Nic nie pomógł protest żołnierza. Granicę wojskową na Renie miała zastąpić gwarancja, dana Francji przez Stany Zjednoczone i W. Brytanję oraz 15-letnia okupacja Nadrenji. Naskutek nieratyfikowania traktatu przez Stany Zjednoczone upadła gwarancja, a z Nadrenji wycofają się wojska sprzymierzone po latach dziesięciu... Jasno patrzył w przyszłość zwycięski wódz, wiedział, że cofnięcie Francji z nad Renu da wolną rękę Niemcom: wiedział, że poniechanie granicy wojskowej na Renie zostawia wejście do Francji otworem, a pokój europejski naraża na największe niebezpieczeństwo.

*

Z zebrania, na którem wręczono delegacji niemieckiej warunki pokoju pozostało mi wrażenie prawdziwego i głębokiego tragizmu. Odbyło się to zebrnie dn. 7 maja w hotelu Trianon w Wersalu. Było obecnych na sali czterech Polaków: Dmowski, Paderewski za stołem delegatów, Marjan Seyda wśród nielicznych zaproszonych dziennikarzy, piszący te słowa wśród sekretarzy delegacyj. Delegaci zajęli wskazane sobie miejsca za stołem ustawionym w podkowę. Zrobiła się cisza. Wprowadzono delegatów niemieckich, na czele szedł br. Brockdorff Rantzau głęboko wzruszony, wychudły, szaro-żółty na twarzy. Ostro, opryskliwie powiedział krótkie przemówienie Clemenceau, opierając się rękami, pokrytemi szaremi rękawiczkami, na stole. Wstał br. Brockdorff-Rantzau, wygłosił przemówienie po niemiecku, potem spełnili swój obowiązek tłumacze.

Patrząc na delegatów niemieckich, zwłaszcza na ich przewodniczącego, widziałem jak byli wzuszeni, jak czuli ogrom upokorzenia swego narodu.

My, Polacy, mieliśmy wszystkie powody do głębokiej radości i zadowolenia. Znaliśmy już zawartość grubego tomu, zawierającego warunki pokoju, wiedzieliśmy, iż sankcjonuje on powstanie Polski niepodległej i zjednoczonej, Polski mającej Górny Śląsk, Poznań i dostęp do morza. Zdawaliśmy sobie dokładnie sprawę z ogromu wydarzenia dziejowego, jakim było cofnięcie potęgi niemieckiej ku zachodowi. Wspomnienia biegły ku bitwie grunwaldzkiej i pokojowi Toruńskiemu; patrzyliśmy na naprawę krzywdy, wyrządzonej przez rozbiory, odzyskiwaliśmy Pomorze utracone w r. 1772... Była to, bez żadnej przesady można powiedzieć — najpiękniejsza chwila w życiu dla kogoś z pokolenia, które patrzyło na Polskę w podziałach.

A jednak, patrząc na upokorzenie przedstawicieli narodu, który jest i będzie jeszcze długo najniebezpieczniejszym współzawodnikiem Polaków, trudno było opanować wzruszenie. Ile zawiedzionych nadziei, jak wielki upadek! Nie przypuszczaliśmy wówczas, iż dzięki błędom zawartym w księdze, którą wręczono Niemcom, dzięki zwłaszcza błędom popełnionym później przez państwa zwycięskie, a wreszcie dzięki wytrwałej i konsekwentnej polityce niemieckiej — po dziesięciu latach będą mogli Niemcy rozpocząć atak na najważniejsze postanowienia traktatu, na jego postanowienia terytorjalne zwaliwszy przedtem cały szereg innych, narzuconych im przez sprzymierzonych warunków — w dziedzinie zbrojeń, odszkodowań i t. d. Dziś patrzymy zdumionemi oczyma na politykę „likwidowania następstw wojny", która stawia sobie za cel pokój powszechny i pacyfikację ogólną, a prowadzi do „likwidacji zwycięstwa".

*

Podpisanie traktatu w Wersalu było uroczystością, którzy święcili zwycięzcy. Dn. 28 czerwca zjawiły się tłumy w salach i ogrodach królów francuskich. W wielkiej galerji pałacowej, obok delegatów i osób urzędowych pomieszczono dużą ilość dziennikarzy i zaproszonych gości. Pozatem w ogrodzie znalazły pomieszczenie tysiące ludzi — nie wiele tam można było zobaczyć, lecz ciekawość zaspakajała przynajmniej wiadomość, iż się jest w pobliżu historycznego wydarzenia. Po zakończeniu ceremonji gdy prez. Wilson, Clemenceau i Lloyd George wyszli do ogrodu, zgromadzona tam publiczność poznała ich i zrobiła im owację; przy tej okazji o mało nie zostali zgnieceni w tłumie, który ich otoczył.

Podpisywanie odbywało się bardzo powoli, przedstawiciele państw podchodzili kolejno do stolika, na którym leżał traktat i składali swe podpisy. Najmniej bodaj zainteresowania budzili pp. Müller i Bell, którzy reprezentowali Niemcy. Osobistości nie głośne i nieznane, które wzięły na siebie ciężki i przykry obowiązek złożenia swych podpisów na dokumencie, uważanym przez całe Niemcy za dotkliwą krzywdę i bolesne poniżenie.

Dziś widzimy wszystkie braki i wady traktatu Wersalskiego, zdajemy sobie dokładnie sprawę z błędów, popełnionych w Paryżu w r. 1919. Wówczas mieliśmy przedewszystkiem przed oczami fakt uświęcenia zwycięstwa, odniesionego przez państwa sprzymierzone, zwycięstwa, którego jednem z następstw było odbudowanie Polski. Wierzyliśmy przez cały czas wojny w to, że doprowadzi ona do zjednoczenia

i niepodległości Polski, wiedzieliśmy, iż to nastąpi, już w listopadzie r. 1918, lecz dopiero traktat podpisany dn. 28 czerwca 1919 r. był oczywistem i pełnem tego faktu stwierdzeniem, a zarazem ostatecznem uwieńczeniem polityki polskiej w czasie wojny i Konferencji pokojowej. Musiał to być tedy dla nas dzień wielki i pamiętny.

STANISŁAW KOZICKI

W OGNIU WALKI

(dokończenie)

STANISŁAW Pieńkowski zasięg swoich obserwacyj, pole badań ograniczył głównie do „odcinka" jednego, t. j. do sztuk plastycznych, rzadziej już skierowując swój reflektor na odcinek sąsiadujący t. j. na literaturę. W tych zaś dziedzinach utalentowani Semici zgrywają się bez przerwy jako rewolucjonery, rozsadzacze przesądów i zabobonów, odśrodkowcy, centralni „burzyciele", nowatorzy, wiecznie najmłodsi, wiecznie pijani, „pijani, szałem". Kabotynizm to *in summo gradu;* z organicznych wad i urazów, z dziedzicznej beztwórczości w plastyce, z obojętności dla przyrody, z egipskiego zapalenia oczu, daltonizmu i kultu dysformy porobili sobie swój walor negatywny, swój, jak to przepysznie określił Pieńkowski, judoformizm, niezwiązany z żadną ziemią ojczystą, swoją kramsztukę, swój międzynarodowy „Klingsland".

Ale demaskowanie oszustwa, szalbierstwa, fałszowania banknotów artyzmu, kuplerstwa i paserstwa krytycznego w tej dziedzinie, może być tylko epizodem działalności poznawczej, wyświetlającej i rewelacyjnej, to może służyć tylko za pole doświadczalne, za trampolinę, odskocznię. Z tej jewsekcji trzeba sięgnąć do sektorów sąsiednich, do czego p. St. Pieńkowski ze swą genialnością wywiadowczej introspekcji i ze swą drobiazgową analizą jest najspecjalniej predysponowany. Oczekuje wielkiej generalnej dezyfencji przedewszystkiem nasza literatura tegoczesna, która przeciążona obcemi rasowo agenturami krytycznemi, stała się terenem takich przewartościowań, takich szalbierstw krytycznych, takich falsyfikatów w ocenie i w hierarchji zjawisk literackich, takiego obiegu fałszywych monet i banknotów, że interwencja władz uzbrojonych w moralne i estetyczne kryterja, stała się już koniecznością. Stadowe wtargnięcie Ghetta po roku 1919-tym, w przeciągu jednego dziesięciolecia zdeprawowało atmosferę, zatruło wiele młodych pędów i zgasiło zapachy wielu kwiatów. Degryngolada takiego p. Lechonia jest dokumentem tego, jak w oranżerjach pozbawionych ozonu a przepełnionych rozweselającemi masy ale trującemi gazami judo—formistycznej słonimszczyzny, więdną już nieuleczalnie, moralnie i artystycznie krzepkie nawet pflance.

Jak ongiś, lat temu trzydzieści, wysiłkami trzydziestu kilku talentów zwaliło się ruderę „strasznego dworu" parafjalnej staroświecczyzny, deskami od świata odgrodzonej, tak obecnie czas już znowu na zwalenie tego hotelu, czy *boarding house* ze zbyt obszerną mykwą, zamieszkałego przez zbyt wielu... „przechodniów" i nowoczesnych Pollaków (za miesięcznem wypowiedzeniem). Szczerze i prosto mówiąc, takiej profuzji żydów, jak u nas, żadna zdrowa literatura znieśćby nie mogła, nie była w stanie, gdyż przy takiej proporcji żydów talenty rodzime, aryjskie muszą więdnąć, schnąć, wyrodnieć, wynaturzać się, paczyć, jałowieć lub moralnie i mentalnie parszywieć. *Exemplum*: Boy-Żeleński, spełniający u nas względem wieszczów i wielkich takie „ostatnie posługi", jakie w piśmiennictwach: angielskiem, niemieckiem, francuskiem wypełniają wobec wielkich rozmaite obskurne skryby tropiące za... *„adultere"*... za incestem... za trybadją i homoseksualizmem.

I oto, naszem przekonaniem, maczuga i miotła Herkulesa najlepiej nadaje się do dłoni autora „W OGNIU WALKI". Nie będzie atoli ta wojna tak wesołą, jak wojna Trojańska. Nasi „wmieszkani", nasi *metekoi* w przeciągu ostatnich lat dziesięciu nauczyli się uważać już nas raczej za lokatorów i zaczynają traktować Fel—lachów jak Frankowie Gallów, jak biali pionierzy europeizmu czerwonoskórych, Sasi—Keltów tubylców. Oni obsadzili wszystkie wejścia do Panteonu czy Walhalli, oni kontrolują karty wejścia i oni decydują, kto ma się posiąść wyżej lub niżej, kto blisko stołu okrągłego ze świętym Graalem, a kto w nawach bocznych.

Ten nieustraszony walecznik, który następny z rzędu rozpocznie z wielką inwazją bój frontowy, będzie miał do czynienia z falangą, pewniejszą siebie, napastliwą, streningowaną. Bronić się będą ofensywnie jeszcze, gdyż drażliwość rozjątrzonych bywa niepohamowaną i mstliwą aż za grobową deskę. Pisał o tej drażliwości Brisson, że: „Żydzi słusznie dumni są ze swojej rasy, ale gniewają się, kiedy im się ją przypomina". Sami żydzi irytowali się często na to swoje przedrażnienie. Potężny Harden, redaktor *„Zukunft"* pisał na ten temat: *„Darf man über jede andere Religion, jede Rasse und Klasse rücklichtslos reden und nur gegen Israel nicht ein kritisches Wörtchen wagen? Das wäre eine wunderliche Forderung, um so verwunderlicher, als sie von Leuten gestellt zu werden pflegt, die täglich Toleranz hischen"*.

„Czyhają" tedy i apostołują tolerancję, ale sami wedle własnych ludzi świadectw najmniej są tolenrancyjnymi. Stwierdza to także ten p. Słonimski, pisząc że: „Co drugi snob żydowski mówi teraz o starości swej rasy. Żydzi zaczynają się uważać za śmietankę towarzyską nawet w banalnem, wielkoświatowem pojęciu" ale zaznacza też, że aczkolwiek w metodach walki Semitów z Arjami „po obu stronach są rzeczy brzydkie, lecz napewno więcej fałszu jest po stronie Żydów".

Czytając od lat kilku monologi konfesyjne tego melancholijnego, choć przytyłego, z powodzenia skorpiona, wierzy mu się istotnie na słowo, że więcej fałszu jest po stronie żydów.

Na bojownika tedy, który zdecyduje się wyminimaksować apartamenty literatury i zrobić miejsce, wymościć przejście dla większego kontyngentu Arjów, rzucą się przedewszystkiem nasłani i najęci sami rodacy, „najmłodsi z Arjów", gdyż mocarze anonimowi nigdy nie dobijają wrogów własnemi rękami. Nadto w Polsce dzisiejszej panuje już ten stan wzajemnej, obopólnej „interdependencji", którą w Niemczech sharakteryzowano wierszykiem:

„Ers ist ein jeglicher
In meinem ganzen Land
Auf ein und andere Art
Mit Israel verwandt".

W ten lub w inny sposób, większemi lub mniejszemi okowami jest już dziś cała inteligencja polska związana z „krajowymi cudzoziemcami“ i od nich uzależniona, jeżeli nie finansowo, ekonomicznie, materjalnie, to w centrach większych, miarodajnych, opinjotwórczych, w każdym razie mentalnie i moralnie. Nacisk i ugniot izra-Elity na świat intelektualny u nas jest tak bezprzerwany i tak systematycznie wzmagany terrorystycznemi wypadami jewsektów, że dziś już nie ostoi się na arenie działalności publicznej ten, kto jak Twardowski nie podpisze z nimi lżejszego lub cięższego paktu; może wegetować na ustroniu, może zapracowywać się, dawać dzieła kapitalne... ale łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż temu, co zadarł z pansemityzmem, dojść do pełnego głosu, stanąć mocną nogą w metropolji i... przejść do sławy grodu.

Należy tedy wierzyć i ufać, że Stanisław Pieńkowski, w sile wieku dziś będący, przeszedłszy kwarantannę izolacji, *splendid isolation*, skoro tylko dadzą się wytworzyć spólnym wysiłkiem warunki, dające mu podstawy dla działalności, wyjdzie ze swojej roli „Tymona Ateńczyka“ a rozmiłuje się w roli jakiegoś Savonaroli, imperatywnie i agresywnie wszczynającego wojnę świętą z naszą literacką Shylockracją. Mogły się znaleść fundusze na luksusowe kwartalniki-mauzolea, mogły się znaleść kapitały na tyle, tyle propagandowych, bezsensownych wydawnictw, to może się wreszcie coś znajdzie i na sfinansowanie pancernego czołgu, któryby pewnego pięknego poranku wjechał w ten Lunaparch czy Lupanarję dzisiejszej literatury i poskromił nieco terror, rejwach i harmider aszkenazjatów, którzy opanowali stolicę, zmieniając Warszawę na Parszawę.

Zgóry atoli trzeba zaznaczyć, że o ileby autorowi „W OGNIU WALKI“, jako najbardziej zahartowanemu w samotności charakterowi, przypadła ta wielka i ważna misja odkażenia i odkurzenia dzisiejszej literatury, to jednak przedtem należałoby, jak sądzę, udzielić mu pewnych rad, przy których zachowaniu dopiero ta *l'action directe* mogłaby (mojem zdaniem) mieć szanse powodzenia.

Przedewszystkiem tedy chodzi mi tutaj o podniesienie poziomu i tonu kampanji w kierunku jej intelektualizacji i to dość wysoko, godnie przeciwnika, którego wszystkie omal wartości są czysto mózgowe, a cnoty li tylko cerebralne. W każdym więc razie rozszerzenie bazy naukowej, wiedzowej przez opanowanie wielkiego dorobku takich rasologów jak choćby Laponge, Lagarde, Renan, Gobineau, Nietsche, Lasserre, H. St. Chamberlain... Dalej kontakt z naszymi religjologami,profesorami Zielińskim i Gauszyńcem powinien być też stale podtrzymywany. Oczywiście niema i nie może być mowy o tem, aby drogą tych studjów przejść potem do takich zboczeń, krzywizn i ciasnych zaułków, w jakich znalazła się rasologja germańska, odrywająca historycznego Chrystusa od ziemi ojczystej; również nie należy iść torami Maurrasa, który swym poganizmem niemało zaszkodził integralnemu nacjonalizmowi francuskiemu, obłożonemu niedawno klątwą za... herezję! Rasyzm polski jako wiedza i doktryna winien raczej najwięcej zbliżyć się do stanowiska nowoczesnego i humanistycznego Anglika H. Belloca, oczywiście ani na moment nie usuwając z pod uwagi tego faktu bezsprzecznego, że (wedle dzieła kierownika sekcji statystycznej przy żydowskim Instytucie Naukowym p. Jak. Leszczyńskiego) najliczniejszem skupieniem żydowskiem w Europie jest stolica Polski, Warszawa (322.000 w r. 1928), poczem następuje Budapeszt 212 tys., Wiedeń 201 tys., Londyn 200 tys., Odessa 190 tys., Berlin 172 tys., Łódź 156 tys., Kijów 128 tys., Moskwa 110 tys., Paryż 100 tys.

Odpowiedzialność i wina za tak olbrzymie skupisko Semitów w stolicy (New York nie jest stolicą!) spada wyłącznie na nas samych, gdyż „każdy naród ma taki procent i takich żydów na jakich zasłużył“. Z taką już cyfrowo olbrzymią potęgą wewnętrzną, związaną nadto wszelkiemi fibrami z największem dziś mocarstwem świata t. j. Anonimowem, z tym Międzynarodem zapasy wieść i kampanje staczać można, ale bronią już nie prymitywną i antyczną, a wedle wszelkich przepisów wyższej strategji, z ułożonym generalnym planem, podziałem na sekcje i odcinki (ważne lub mniej ważne), z „pieredyszkami“ i znowu z atakami frontowemi wedle reguł i metod wyższego kunsztu. Trzeba sobie wreszcie raz uświadomić jasno i trzeźwo, że przy całej swej głębokiej amoralności, pod niektóremi względami nie jest to rasowy czynnik *inferior*, drugorzędny, ale raczej zaczajony jeszcze „*Herrenvolk*“, rasa Spinozy i Einsteina, Heinego i Rotschilda, naród genjalnych szachistów, matematyków, lichwiarzy, organizatorów wielkiego kapitału. To nie jest żadna amorfna masa, plazma, śluz ludzkości, a przeciwnie gatunek,z którego wychodzą już świetni sportowcy, siłacze, *rekordman*'i, *champion*'i nawet w pływaniu, w wodziel To już nie jowialne postacie z Ghetta małomiasteczkowego, grające na basach, na schodach białych dworków szlacheckich lub patrjarchalni cymbaliści... Jankiele. Nie, to już dyrygenci wielu dziś najważniejszych zespołów na globie: prasowych, giełdowych, naukowych, industrjalnych, artystycznych, teatralnych, wszelakich koncernów, trustów i t.d. Na traktowanie ich jako jakiejś parwenjuszowskiej *quantité negligeable*, będącej dopiero na dorobku, na traktowanie ich jako czegoś nieskończenie od Arjów słabszego, stanowczo już nie pora i nie miejsce, gdyż nie tylko nie są to podludzie typu *pitecantropos erectus*, ale wprost przeciwnie *sui generis Über-menschenthum*, i to właśnie dzięki swej odziedziczonej psychice rasowej, skłonnościom do amoralności, sceptycyzmu, agnostycyzmu, indyferentyzmu przy olbrzymiej żądzy panowania i władztwa (*Wille zur Macht*). Potraktowanie ich jako wyzwolonego niewolnictwa, odnoszenie się do nich tylko z abominacją zoologiczną, to jest z taką, z jaką stuprocentowi *yankes*'i odnoszą się np. do murzynów, może liczyć na pewną popularność i poklask w środowiskach prostaczych, ale jest pozycją niewystarczającą a niekiedy nawet szkodliwą z tego względu, że agitacji pansemickiej, imperjalizmowi pansemickiemu daje żer i materjał agitacyjny wśród inteligencji. Że to jest rasa całkiem specjalna i groźna już dzięki swym danym biologicznym, to przecież znów świeżo stwierdził znakomity uczony rosyjski prof. Manoiłow, badacz krwi ludzkiej, który po dwudziestu latach studjów wykazał, że proces utleniania krwi w narodach semickich jest trzy razy szybszy, czem należy sobie tłumaczyć cały szereg cech rasowych, przydatnych im w życiu i w wielu wypadkach dających predysponujące kwalifikacje.

Przepotężną odporność i siłę biologiczną rasy królowej Sary stwierdzają zgodnie wszyscy etnologowie, z których niektórzy dopatrują się powrotnych cech semickich w wysokiej arystokracji hiszpańskiej i... angielskiej. Nie są więc żadną Tschandalą europejską żydzi, choć jeszcze duży ich procent tkwi w egzystencji proletarjackiej, ale, wprost przeciwnie, zwolna lecz systematycznie stają się kastą, rządzącą już dwoma kontynentami, na razie nie oficjalnie, ale z za kulis. Zresztą przypomnijmy to sobie, co o nich już w 1833 r. t. j. znacznie przed pełną emancypacją pi-

sał jako o czynniku historycznym znakomity dziejopis angielski Macoulay. „U zarania cywilizacji, gdy nasz kraj był w takim stopniu rozwojowym, jak Nowa Gwinea, gdy w Atenach nie znali jeszcze sztuki, literatury, kiedy jeszcze na miejscu, gdzie Rzym stoi, nie było żadnej nawet lepianki, wtedy posiadał już ten naród pałace cedrowe i twierdze, swą wspaniałą świątynię, flotę wraz z okrętami wojennemi, szkoły religijne, posiadał swoich mężów stanu, filozofów i poetów".

Nie można tedy na naród tak historyczny a na problemat dzisiaj tak ważny patrzyć sobie „przez rurę od barszczu" tak nieco po szlachecku, po staropolsku czy sarmacku, aczkolwiek to walkę z ich supremacją upraszcza i ułatwia, nie przynosząc coprawda żadnych rezultatów pozytywnych a im daje kapitalne atuty „mniejszości" i „niewinności", uciskanej przez „zoologiczną" idjosynkrazję. Pomniejszając ich z pruska do kategorji „*minderwärtige Nation*" lub „*lästige Ausländer*", temsamem usprawiedliwia się ich bezceremonjalność i amoralność w doborze środków, umożliwiających im wyzwolenie się z tego stanu czy stadjum degradacji i postponowania i hoduje się ich wadę generalną, herbową t. j. megalomanję prześladowczą.

Tego stanowiska nieco archaicznego i przestarzałego, stanowiska raczej z ery J. Jeleńskiego i Junoszy-Szaniawskiego antypodą jest znowu postawa naszych dzisiejszych „sanatorów" rządowych, to jest grupy również nieco parafjalnemi kategorjami myślącej, która znowu, wpadłszy w drugą ostateczność, żydostwo wszechświatowe uważa obecnie już za jedyny regulator świata, za jedyną potęgę i jedyne mocarstwo, decydujące o losach wszystkiego i wszystkich, a która w tej dewocji Wall-Streetu doszła do tego stadjum, w jakiem byli żydzi w erze kultu... „Złotego Cielca". Jak w Berlinie przed wojną wołano z emfazą: „my, Niemcy, boimy się tylko Boga!", tak obecnie w stolicy, ale w Polsce zapanowało hasło: „my, Polacy, boimy się tylko żydów... *sonst nichts*!" I jak znów w ostatnich dziesięcioleciach stulecia niewoli wytworzyła się potężna, chora ideologja ugody z trzema zaborcami, tak obecnie rządzi nami doktryna „ugody za wszelką cenę" z potencjonalnymi zaborcami wewnętrznymi, okupującymi już wszystkie ośrodki nerwowe życia publicznego, doktryna obozu, który niezbyt orjentując się jeszcze ściśle w Europie, wyrobił sobie nadmierne i przeszarżowane pojęcie o już jakoby istniejącej bezkonkurencyjnej hegemonji tylko żydowskiej na globie i w myśl tego pojęcia (nie dostrzegając znów innych sił potężnych jak np. Kościoła Katolickiego) rzekomo dla dobra państwa chce służyć wiernie tylko semityzmowi i w tej kornej, niewolniczej, podchlebczej służbie widzi jedyne gwarancje stabilizacji i „mocarstwowości" Państwa Polskiego. Jest to znowu przesada i zapędzanie się w drugim kierunku. Są żydzi potencją, są mocarstwem, są *sui generis* elitą, są szczepem intelektualnym, są do pewnego stopnia narodem „wybranym" bo między narodem i nad narodem, ale to nie przesądza i nie wyklucza jeszcze możliwości oporu i obrony przeciw ich despotyzmowi, gdyż opór ten we wszystkich narodach już jest, z państwową budową i rozwojem tych narodów nie koliduje, a co więcej albo występując we wzmożonej formie (Niemcy, Włochy), jest dowodem żywotności i zdrowia tych narodów, albo jeżeli słabnie i zanika (Rosja) jest dowodem ich dekadencji i osłabienia witalizmu. Przyszłość wielka należy tylko do tych ras, szczepów, społeczeństw, które (o ile obciążone mocnym odsetkiem semitów) niebezpieczeństwo ich supremacji ograniczyć zdołają do właściwych rozmiarów, zwalczywszy w zarodku ich zakusy pasorzytnicze i absolutystyczne.

My pod tym względem jesteśmy na rozdrożu. Obarczeni największym i najcięższym balastem tego „ludu wybranego" a groźnego, nie tylko nie przedsiębierzemy niczego, celem ulżenia sobie i zepchnięcia nadmiaru tych „*kulturdünger*" na inne narody kuli ziemskiej, ale powoli pozwalamy spychać naszych współrodaków, autochtonów, właśnie świadomych niebezpieczeństwa hegemonji semickiej, do roli Parjasów. Powoli w oczach naszych wytwarzają się właściwie dwie warstwy odrębne, omal dwa narody w narodzie; jedna warstwa dopomagająca do przyszłej supremacji Semitów w Polsce, warstwa rządząca, uprzywilejowana; druga warstwa zwolna wydziedziczana i usuwana w dół i w cień, to jest ta, która czyni lekkie próby, pierwsze zakusy wyzwolenia się z nakładanego delikatnie i niewidocznie jarzma, *jugum* semickiej supremacji; jedna warstwa przygotowująca tę następną erę, w której żydzi (i z żydami przemieszani rasowo lub *business*'owo Polacy) będą tem, czem byli Niemcy w Rosji lub Anglicy w Indjach, i druga warstwa (obóz), która na taką ewolucję, na taki rozwój polskości, na taką choćby uwodząco wspaniałą przyszłość... wiedziona instynktem rasowo-samozachowawczym zgodzić się nie chce i nigdy pod żadnym warunkiem i za żadną cenę się nie zgodzi.

Symbolem i obrazem tej w przyszłości sytuacji Parjasowskiej i tej roli, na jaką *idololatria* państwowości czy „mocarstwowości" (zdobytej kosztem zaprzaństwa) skazać chce rasowych Polaków tj. Polaków z sumieniem z uświadomieniem rasowem jest właśnie autor: „W OGNIU WALKI". Na takie osamotnienie czy odosobnienie duchowe, na takie katakumby bytowe na tak do *minimum* zwężony zakres działania, na tak nikły rezonans w opuszczonem audytorjum, na takie wreszcie zgorzknienie „Tymona Ateńczyka", *taedium vitae* skazani będą wszyscy, co ośmielą się podnosić swoje niezłomne, nieugięte *veto* przeciw Shylockracji w Polsce. Mogą mieć talent jak szczere złoto, charakter jak stal, mogą zwielokrotnić swój intelekt pogłębioną wiedzą, mogą reprezentować czysty, nieskażony instynkt swej rasy, mogą nam już zewnętrznie przypominać, że jednak jesteśmy tymi „najmłodszymi z Arjów"...; w przystępie szczerości zgodzimy się, że imponują nam swą ideową postawą... Że się atoli nie chcą ugiąć przed tym Złotym Cielcem, przed którym ugina się dzisiejsza cywilizacja, że ośmielają się bluźnić Mammonowi i mammonarchom giełdy i prasy, że sprzeciwiają się promiskuicjom cielesnym i duchowym i assemilacji (na miejsce dawnej asymilacji) przeto skazani będą na wyobcowanie, na izolację, na pustynię, na katakumby, na wieczystą kwarantannę... ich głos zaś będzie *vos clamantis in deserto*.

To są jedyni idealiści, jedyni romantycy i jedyne duchy rewolucyjne naszej ery.

Stanisław Pieńkowski zaś to jedyny Don Kiszot w naszem piśmiennictwie, publicystyki naszej „żołnierz nieznany", zatem bohaterski.

Przemilczajcie go, ale zabijajcie przemilczaniem przynajmniej z... kapeluszem w ręku.

ADOLF NOWACZYŃSKI

LIBERUM VETO

Rdzeń wypadków lwowskich. — Żydzi powojenni w stosunku do Polski. — Ich ataki i oszczerstwa. — Zawsze niewinni. — Poparcia prasy sanacyjnej. — Obchód dziesięciolecia traktatu wersalskiego.

CO się działo we Lwowie podczas procesji Bożego Ciała, jak się zachowali wobec niej uczniowie szkoły żydowskiej, jak odpowiedzieli na ich wybryk łobuzerski akademicy, jak z nimi postąpiła policja i władze administracyjne, jak wzburzyła się opinja społeczeństwa polskiego — o tem wszystkiem opowiedziały szczegółowo dzienniki narodowe, których doniesień powtarzać tu nie będę. Chcę tylko oświetlić fakt ogólniejszy, w którym wypadki lwowskie się mieszczą i który je tłumaczy.

Jest to już oczywistem, że podczas wojny a zwłaszcza po wojnie żydzi tutejsi zmienili swój stosunek do Polski z obojętnego lub przyjacielskiego na wrogi. Pobudziły ich do tego sympatje i związki z państwami centralnemi, ściślej mówiąc — z Niemcami, do których zawsze ciążyli i których podczas wojny obsługiwali pomocą, intrygami i szpiegostwem, potem opieka traktatowa, rozciągnięta nad mniejszościami narodowemi, wreszcie nieoględne ustępstwa rządów polskich, kupujących za nie ich poparcie w przedsięwzięciach finansowych. Dzięki tym zdobyczom, a nadto wielkiej liczebności, żydzi posunęli zuchwałość swych żądań i dążeń do granic, nie przyznanych im i nie tolerowanych w żadnem innem państwie europejskiem. Nie osłaniając swego zamiaru żadnemi pozorami, ogłosili wyraźnie, że są współwłaścicielami ziemi polskiej, równouprawnionymi z jej ludnością rdzenną, że chcą współrządzić Polską jako odrębny naród, stanowiąc jednocześnie własne samorządne państwo w państwie polskiem. Ta postawa musiała wywołać dwa skutki: z jednej strony żydzi coraz wyżej podnosili swoją napastliwość i wymagalność, z drugiej społeczeństwo polskie zaczęło coraz silniej okazywać im swoją nienawiść i coraz energiczniej występować w swojej obronie. To też nigdy antysemityzm nie rozrósł się u nas tak szeroko i głęboko, jak obecnie. Jest on już walką nie religijną, nawet nie ekonomiczną, ale kulturalną, polityczną a nadewszystko narodową.

Nie można ani jej się dziwić, ani sztucznemi środkami łagodzić, jest ona bowiem koniecznością życia wielkiego narodu, który w dziesięciowiekowej historji wytworzył sobie swoisty charakter, własną kulturę, całą sferę twórczości duchowej, który w długiej niewoli podniecał się i krzepił nadzieją odzyskania niepodległości i gdy wreszcie ją otrzymał, wytężył wszystkie swoje siły, ażeby ją ubezpieczyć, ażeby istnieć. Czyż ten naród może spokojnie patrzeć, jak go żywioł obcy, przeważnie barbarzyński i wrogi, chce wyprzeć, opanować i uczynić naprzód upośledzonym spólnikiem ziemi ojczystej, a później może poddanym? To nie jest sprawa tolerancji i humanizmu, to nie zatarg chciwego gospodarza domu z ubogim lokatorem, lub okrutnego właściciela z łagodnym dzierżawcą, to jest obrona gospodarza i właściciela od podstępnego przybysza, który usiłuje zawładnąć jego domem i mieniem, przekształcić je według swoich potrzeb i upodobań. Wobec ogromnej masy żydów zagadnienie stosunku do nich nie wyraża się pytaniem, jak ich uprawnić w naszem państwie, lecz czy Polska ma być polską, czy polsko-żydowską, albo nawet żydowsko-polską. Odpowiedzią na to pytanie może być tylko walka, która dziś już ma przebieg ostry, a przybierać bębzie coraz ostrzejszy, w miarę wzmacniania się poczucia narodowego i państwowego śród Polaków.

Tej niezłomnej konieczności życia żydzi nie widzą i nie rozumieją. Im się zdaje, że prowadzą wojnę, która się zakończy ich zwycięstwem, że toczą proces, który dzięki ich środkom, wpływom, stosunkom międzynarodowym i i sojuszom z grupami rewolucyjnemi ostatecznie wygrają. Jest to podwójna omyłka: Naród, posiadający w sobie ogromny zapas sił żywotnych, naród, który przetrwał długą i straszną niewolę, pod naciskiem trzech potężnych mocarstw, nie ulegnie zamachom „mocarstwa anonimowego", chociażby ono utuchomiło przeciw niemu wszystkie banki i giełdy i wypuszczało mu zaciekle krew pieniężną dla maców żydowskich całego świata. Tę propagandę nienawiści, kłamstwa, potwarzy, którą żydzi szerzą przeciw Polsce w Europie i Ameryce, już dawniej przetrwaliśmy. Przypomnijmy sobie, że rząd rosyjski po rewolucji 1830, a zwłaszcza po powstaniu 1863 r. wydawał dzienniki i rozrzucał druki oczerniające Polaków i przedstawiające ich jako dzikich okrutników. Nakładem senatu petersburskiego wydana została nikczemna broszura, którą przysyłano do każdego z miejsc pobytu skazanych na osiedlenie powstańców i w której opowiadano zmyślone, najohydniejsze znęcania się Polaków nad Rosjanami — te same, które obecnie żydzi powtarzają o nas w Ameryce, jak gdyby skopjowane z wzorów rosyjskich. Oszczerstwo ma wszędzie jednakowe myśli, jednakowe uczucia i jednakowy język.

Drugą omyłką żydów jest mniemanie, że świat porzuci Nowy Testament i powróci do Starego, przerobionego i uzupełnionego przez nich. Rzeczywiście wszystko to, co stanowi dziś szumiącą pianę nurtu życia powojennego, jego mętne fale, jaskrawizną jego barw da się wywieść z tej księgi, która jest ciekawym i cennym zabytkiem historycznym, ale nie powinna i nie może już dzisiaj być kodeksem moralności. Żydzi nawet ci, którzy z niej drwią, przeniknięci są jej duchem. Każdy semita, który nie wynaturzył się, nie stał się całkowicie Francuzem lub Polakiem, jest w swej istocie starotestamentowym, mojżeszowcem i jehowitą. Otóż ten gatunek ludzki nie może być typem przyszłości. Jakimkolwiek on będzie, to pewne, że nie będzie judejskim, który w rozwoju kultury musi zniknąć i pozostanie tylko jako przeżytek, przechowujący się w jej zaułkach. Rotschildy, Bleichrödery, Schiffy i inni tego gatunku królowie giełdy mogą odmówić Polce pożyczki, mogą obniżać kurs jej papierów wartościowych, mogą jej dokuczać i szkodzić wszystkiemi sposobami lichwiarzów, ale jej nie zabiją, dopóki ona sama żyć zechce, będzie pracowitą i uczciwą. Przedstawiają oni, zarówno ich współwyznawcy na naszej ziemi, groźne niebezpieczeństwo tylko dla tych — niestety bardzo licznych — polityków, którzy żyją interesami, potrzebami i korzyściami teraźniejszości. Kto patrzy w przyszłość i wierzy w siłę twórczą swego narodu, ten się ich nie lęka. Mordy tatarskie, najazdy szwedzkie, rozbiory niemiecko-rosyjskie, półtorawiekowe gwałty, bezprawia i tyranje więcej nas zgnębiły, obezwładniły i zrujnowały, niż wszystkie banki żydowskie Europy i Ameryki, a jednak istniejemy i to istnienie zawdzięczamy jedynie wierze w przyszłość. Dopóki ta wiara nie wygaśnie, nie obawiajmy się ani nędzy, ani śmierci narodu. Rzeczywistem dla niego niebezpieczeństwem jest tylko zbyt wielka liczba ludzi dzisiejszych, ludzi teraźniejszości, a za mała jutrzejszych, ludzi przyszłości.

Zachowanie się prasy żydowskiej wobec odwetu młodzieży akademickiej za znieważenie procesji we Lwowie zawiera w sobie jądro ducha tej rasy. Wszyscy

czytaliśmy najostrzejsze samokrytyki Francuzów, Anglików, Włochów, Niemców, Szwajcarów, Greków, Serbów, Bułgarów, Szwedów, Duńczyków, Rosjan, Polaków, ale nikt z nas nie czytał nigdy w dzienniku żydowskim nagany dla żydów przy sądzeniu wypadków, w których oni byli oczywistymi winowajcami. We wszystkich walkach, bijatykach, morderstwach, gwałtach publicznych zawsze winni są „goje" a zwłaszcza Polacy, podczas gdy „nasi" są tylko jagniętami poszarpanemi i pożartemi przez wilki. Tak również miało się dziać we Lwowie, gdzie polscy „huligani" dopuścili się „dzikich gwałtów" za skromne figle chłopców żydowskich, którym należało tylko pogrozić palcem na nosie. Jest to polityka nie tylko oszukańcza, ale głupia i dla samych żydów szkodliwa. Podtrzymuje bowiem ludność chrześcijańską w stanie ciągłego wrzenia, zgrozy, gniewu, i zemsty. Trzeba jednak przyznać żydom okoliczności łagodzące: popiera ich i podnieca w tej taktyce prasa „sanacyjna", która również zawsze ich obmywa z plam moralnych, zawsze je usprawiedliwia i gdy już jakiego występku wykłamać nie może to przynajmniej go przemilcza. Obsłużyła ich również po wypadkach lwowskich. Taki już mają nałóg lokajski: gdy się znudzą bezczynnością w przedpokoju i pan nie dzwoni, ugodzą się o stuligębne z pachciarzem za fałszowanie mleka a z szynkarzem za rozpijanie chłopów fałszowaną wódką.

* * *

Ale oderwijmy wzrok od tego szpetnego obrazu i zwróćmy go na inny, piękny. Poznań, w którym obecnie bije najmocniejsze tętno życia Polski, urządził uroczysty obchód dziesięciolecia podpisania Traktatu Wersalskiego. Niewiele jest w dziejach naszych faktów równych temu wagą i wpływem. Unja Lubelska była aktem braterstwa, Konstytucja 3-go maja wysiłkiem odrodzenia, Traktat Wersalski cudem zmartwychwstania, w który wierzyły tylko dusze natchnione i którego nikt tak prędko nie oczekiwał. Dzięki temu cudowi Polska, uznana za umarłą, od półtora wieku trzymana w grobie niewoli, nagle wyszła z niego, jest żywa, wolna, niepodległa. Żadna pamiątka narodu nie może być uroczystsza i radośniejsza. Sprawcy obchodu, czcząc ją osobnem świętem, utrwalili w uczuciach narodu nietylko wspomnienie epokowego zdarzenia naszej historji, ale również wdzięczność tym, którzy byli jego życzliwymi twórcami.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

W DZIESIĘCIOLECIE TRAKTATU WERSALSKIEGO

DNIA 28 czerwca r. b. odbędzie się w Poznaniu Ogólnonarodowy Obchód Dziesięciolecia Traktatu Wersalskiego. Komitet obchodu ogłasza następującą odezwę do społeczeństwa:

Dnia 28 czerwca r.b. upływa dziesięć lat od podpisania Traktatu Wersalskiego. Wśród licznych narodów, które się przygotowują do uroczystego święcenia tej rocznicy, dla żadnego nie ma ona tak wielkiego dziejowego znaczenia, jak dla Polski, której ten traktat przywraca stanowisko wśród niezawisłych państw świata i której ustanawia granicę zachodnią, granicę z państwem niemieckiem. Tym traktatem Polska odzyskała Pomorze z dostępem do Bałtyku, Poznańskie i część Śląska — ziemie polskie, bez których nigdyby wielkiem państwem być nie mogła.

Naród polski na wszystkich swych ziemiach i we wszystkich swych warstwach zdaje sobie sprawę ze znaczenia tej rocznicy i będzie ona niezawodnie święcona w licznych obchodach miejscowych.

W dniu 28 czerwca odbędzie się wielki obchód ogólnonarodowy w Poznaniu, w sercu ziem odzyskanych Traktatem Wersalskim, w prastarej stolicy Bolesławowej, w której otwarto Wystawę dziesięciolecia niepodległości naszej.

Następują podpisy:

Prezes Adolf hr. Bniński, wiceprezes ks. infułat Józef Kłos, sekretarze: prof. dr. Zygmunt Lisowski, mec. dr. Stanisław Celichowski, Ich Ekscelencje ks. ks. Arcybiskupi i Biskupi: Ks. Arcybiskup Jałbrzykowski, Metropolita Wileński; Ks. Arcybiskup Adam ks. Sapieha, Metropolita Krakowski, Ks. Arcybiskup Józef Teodorowicz, Ks. Arcybiskup Bolesław Twardowski, Metropolita Lwowski, Ks. Konstanty Dominik, Biskup Sufragan Chełmiński, Ks. Walenty Dymek, Biskup Sufragan Poznański, Ks. prof. Michał Godlewski, Ks. Paweł Kubicki, Biskup Sufragan Sandomierski, Ks. Antoni Laubitz, Biskup Sufragan Gnieźnieński, Ks. Lisowski, Biskup Sufragan Lwowski, Ks. August Łosiński, Biskup Kielecki, Ks. Łoziński, Biskup Piński, Ks. Stanisław Łukomski, Biskup Łomżyński, Ks. Kazimierz Michalkiewicz, Biskup Sufragan Wileński, Ks. Antoni Nowowiejski, Biskup Płocki, Ks. Anatol Nowak, Biskup Przemyski, Ks. Wojciech Owczarek, Biskup Sufragan Włocławski, Ks. Henryk Przeździecki, Biskup Podlaski, Ks. Karol Radoński, Biskup Włocławski, Ks. Stanisław Rospond, Biskup Sufragan Krakowski, Ks. Czesław Sokołowski, Biskup Sufragan Podlaski, Ks. Adolf Szelążek, Biskup Łucki, Ks. Antoni Szlagowski, Biskup Sufragan Warszawski, Ks. Stefan Walczykiewicz, Biskup Sufragan Łucki, Ks. Leon Wetmański, Biskup Sufragan Płocki. Józefat Andrzejewski, Pułk. Arciszewski, Gabrjela Balicka, Ignacy Baliński, Mec. Bolesław Bielawski, Jan Bartoszewicz, Michał Bojanowski, Roman Bniński, Marjan Borzęcki, pos. Zygmunt Berezowski, Tadeusz Bielecki, Wojciech Bąkowski, Prof. Oswald Balcer, Tadeusz Bertoni, inż. Bieńkowski, Prof. Franciszek Bujak, Władysław Berkan, Ludwik Begale, Barciszewski, Antoni Banaszak, Bejer, Ks. senator Brandys, Ks. prałat Bolt, Dr. Balewski, Seweryn ks. Czetwertyński, Pos. Józef Chaciński, Prof. Ignacy Chrzanowski, Prof. Jan Czekanowski, Witold ks. Czartoryski, Kazimierz ks. Czartoryski, Roman ks. Czartoryski, Mieczysław Chłapowski, Dr. Witold Celichowski, Jerzy Ciechomski, Ignacy Chrystowski, Mec. Czapla, Demelówna, Zofja Doerferowa, Karol Dłużewski, Pos. Aleksander Dębski, Prof. Władysław Dziewulski, Prof. Edward Dubanowicz, Włodzimierz hr. Dzieduszycki, Prof. dr. Stefan Dąbrowski, Jerzy Drobnik, Prof. Bronisław Dembiński, Ks. prałat Działowski, Jan Dominirski, Mec. Esden-Tempski, Prez. Esden-Tempski, Pos. Mieczysław Fijałkowski, Kazimierz Fudakowski, Władysław Froehlich, Dr. Stefan Falkowski, Prof. Wł. Folkierski, Red. Fiedler, Wiesław Gerlicz, Helena Grossmanówna, Kazimierz Gruetzmacher Prof. Antoni Gluziński, Stanisław Grabiński, Jerzy Gościcki, Ks. prałat Godlewski, Józef Golcz, Stanisław Gieysztor, Adam Głażewski, Prof. Stanisław Głąbiński, Profesor Tadeusz Grabowski, Górczak, Zygmunt Godlewski, Feliks Godlewski, Prof. Emil Godlewski, senior, Prof. Emil Godlewski, junior, Holder Eggerowa, Jan Harusewicz, Witold Hedinger, Władysław Jabłonowski, Szczepan Jeleński, Jan Jodzewicz, Stanisław Jasiukowicz, Antoni Jundziłł, Mieczysław Jakubowski, Prof. Antoni Jurasz, Ks. Jarosz, Bohdan Jarochowski, Klemens Jędrzejewski, Marjan Kiniorski, Jan Kornecki, Bolesław Koskowski, Dr. Kozerski Adolf,

Eryk Kurnatowski, Józef Karney, Edward hr. Krasiński, Ks. rektor Józef Kruszyński, Prof. Wacław Komarnicki, Piotr Kownacki, Prof. Władysław Konopczyński, Władysław Kański, Medard Kozłowski, Wilhelm Kulikowski, Prof. Stanisław Kasznica, Tadeusz Kobylański, Stefan Kałamajski, Józef Kawecki, Ks. Konieczny, Bronisław Korewa, Dr. Kolanowski, Jan Kwiatkowski, Wojciech Korfanty, Zygmunt hr. Lasocki, Teodor Libiszewski, Roman Leitgeber, Prof. Edward Loth, Dr. Bogusław Longchamps, Ks. Ludwiczak, Dr. Wacław Łapiński, Pos. Lewandowski, Bogusław Łubieński, Tomasz Łubieński, Generał de Hoenning-Michaelis, Stanisław Miłaszewski, Antoni Marylski, Pułk. Izydor Modelski, Pos. Józef Milik, Dr. Adam Majewski, Aleksander Marcinowski, Prof. Leon Marchlewski, Stanisław Moskalewski, Dr. Czesław Meissner, Pos. Ludwik Miklaszewski. Ks. Michałowicz, Dr. Maj, Maciejewski, mec. Jan Nowodworski, Ks. Marceli Nowakowski, Mieczysław Niklewicz, Michał Nycz, Adolf Nowaczyński, Stanisław Nowicki, Stanisław Niegolewski, Konrad Olchowicz, Prof. Oko, Telesfor Otmianowski, Dr. Paweł Ossowski, Irena Puzynianka, Tadeusz Popowski, Prof. Stanisław Pigoń, Leon Perkowski, Jan Gwalbert Pawlikowski, Michał Pawlikowski, Leon Pluciński, Zygmunt Pluciński, Romuald Paczkowski, Stefan Ponikiewski, Tadeusz Powidzki, Edward Potworowski, Witold Prądzyński, Ks. prałat Józef Prądzyński, Ryszard Piestrzyński, Józef Petrycki, Dr. Potyka, Antoni Rostworowski, Zofja Rzepecka, Dr. Antoni Rząd, Henryk Rossman, Jan Rudnicki, Prof. Roman Rybarski, Feliks Raczkowski, Jan Rembieliński, Janusz Rabski, Stanisław Rymar, Karol Hubert Rostworowski, Dr. Celestyn Rydlewski, Lucjan Rybiński, Władysław Seyda, Józefa Szebekówna, Mirosław Sawicki, Juljan Adolf Święcicki, Aleksander Świętochowski, Stanisław Szurlej, Pos. Witold Staniszkis, Prof. Stanisław Stroński, Prez. Zygmunt Słomiński, Michał Siciński, Stanisław Strzetelski, Tadeusz Sułowski, Seweryn Samulski, Stefan Sołtyk, Stanisław Śliwiński, Kazimierz Szcześniewski, Prof. Stefan Surzycki, Tadeusz Sikora, Władysław Sikora, Prof. Wacław Sobieski, Dr. Leonard Stahl, Zdzisław Stahl, Szawłowski, Ks. kan. Szulc, Ks. prałat Antoni Stychel, Dr. Jan Sławski, Dr. Stanisław Sławski, Stefan Sacha, Pos. Sosiński, Teresa ks. Sapieżyna, Jan Tłuchowski, Tallen-Wilczewski, Pos. Wojciech Trąmpczyński, Wiesław Tuchołka, Prof. Kazimierz Tymieniecki, Juljan Trzciński, Hipolit Wąsowicz, Józef Weyssenhoff, O. Jacek Woroniecki, Zygmunt Wasilewski, Prof. Bohdan Wasiutyński, Pos. Karol Wierczak, Witold Węsławski, Antoni Wolski, Ks. Adam Wyrębowski, Prof. Bohdan Winiarski, Stefan Wyrzykowski, Inż. Wdziekoński, Ks. prob. Wrycza, Ks. dziek. Witkowski, Zofja Żółtowska, Adam hr. Zamoyski, Jan Załuska, Pos. Stanisław Zalewski, Jan Zamorski, Juljusz Zdanowski, Aleksander Zwierzyński, Stanisław Załęski, Prof. Adam Żółtowski, Prof. Marjan Zdziechowski, Jerzy Zdziechowski, Jan Zdzitowiecki, Leon Żółtowski, Prof. Stefan Zaleski, Władysławowa hr. Zamoyska.

WYCHOWANIE NARODOWE

MIĘDZYNARODOWY ZWIĄZEK STOWARZYSZEŃ NAUCZYCIELSKICH

Międzynarodowej Federacji Stowarzyszeń Nauczycieli Szkół Początkowych chcemy poświęcić nieco uwagi dlatego, że od dwu lat należy do niej Związek Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych, co się odbija na ideologji tej organizacji. Korzystamy ze sprawozdania z Kongresu Federacji, który się odbył w dn. 6 — 9 kwietnia b. r. w Bellinzonie; sprawozdanie to polskiego delegata p. K. Makucha ogłoszone zostało w № 18 i 19 „Głosu Nauczycielskiego", organu Zw. P. N. S. P.

Federacja ma w swym programie szerzenie przez szkołę idei pacyfizmu w duchu Ligi Narodów. Porządek dzienny Kongresu w Bellinzonie obejmował prócz części sprawozdawczej [1]) dwa zagadnienia: 1-o „Szkoła w służbie idei pokoju", 2) „Szkoła, kościół i państwo". W części sprawozdawczej przedstawione były m. in. wyniki ankiet, dotyczących następujących zagadnień: 1) Płace i położenie materjalne nauczycielstwa w różnych krajach, 2) kształcenie ogólne i zawodowe nauczycieli szkół powszechnych i w związku z tem zagadnienie szkoły jednolitej, 3) szkoła a propaganda pokojowa, 4) szkoła, kościół i państwo.

Interesujące są dla nas rezolucje uchwalone przez kongres; odzywać się one będą echem w wystąpieniach naszych Związkowców, odbite nieraz w „krzywem zwierciadle" [2]), dobrze zatem będzie poznać się z tem źródłem natchnień w nieskażonej postaci.

Rezolucja 1 dotyczy uposażeń nauczycieli.

2) W sprawie kształcenia nauczycieli wypowiada się kongres za tem, aby ogólne wykształcenie pobierał przyszły nauczyciel w pełnej szkole średniej, dającej wstęp na uniwersytet, na którym ma otrzymać właściwe pedagogiczne i zawodowe wykształcenie oraz pogłębienie wykształcenia ogólnego. Jest to postulat na razie utopijny, który u nas wysuwany jest w celach demagogicznych, mimo niezmiernych braków wykszałcenia nauczycieli.

3) Natomiast zagadnienie szkoły jednolitej postawione zostało ostrożnie. Uznano je za niedojrzałe do stanowczej rezolucji, wobec różnego pojmowania sprawy w różnych krajach. „M. F. S. N., wychodząc z założenia, że każde dziecko, bez względu na jego pozycję społeczną, ma prawo do pełni wykształcenia — poleca Wydziałowi Wykonawczemu opracować na najbliższy Kongres zagadnienia organizacji publicznego szkolnictwa państwowego".

4) Za najważniejszy uznano punkt: „Szkoła w służbie zgody narodów i pokoju świata" i powzięto tu kilka uchwał:

a) „Zreszone w M. F. S. N. organizacje nauczycielskie stwierdzają swoją szczerą wolę w tym kierunku, aby wychowanie dziatwy i młodzieży prowadzić w duchu zgody między narodami, dążyć do usunięcia ze szkoły książek o tendencyjnej, podżegającej przeciw innym narodom treści, a starać się o wydawanie książek, pisanych w duchu pojednania i pokoju ludzkości, takich, które mogłyby być tłumaczone dla propagandy tej idei na inne języki, wreszcie dążyć do opracowania dzieła historycznego, wolnego od wszelkich jednostronnych tendencyj narodowych — a wykazującego natomiast dorobek kulturalny każdego narodu w ogólnej kulturze światowej".

b) Zrzeszone organizacje wypowiadają swoją gotowość starania się w swych krajach o wprowadzenie nauki o Lidze Narodów do szkół, uważając, że przyczyni się to do szerzenia i pogłębienia propagandy pokojowej".

---

[1]) Ze sprawozdania wynika, że do Federacji należy 21 organizacyj z 15 państw europejskich; liczą one razem 543,800 członków. Nie należą: Rosja, Włochy, nadto Belgja, Luksemburg, Finlandja, Norwegja, Grecja, Hiszpanja, Portugalja.

[2]) Przytoczymy w następnym n-rze, jako przykład tego, próbkę lekcji „pacyfistycznej", znalezioną w jednem z prowincjonalnych pisemek, wydawanem przez nauczycieli szkół powsz. (Zreferujemy artykuł: „Idea pokoju w szkole" z „Miesięcznika pow. Dubieńskiego").

c) „Kongres wypowiada się za organizowaniem przez zrzeszone Związki wymiany uczniów i nauczycieli między poszczególnemi krajami, a ponieważ potrzebne są na to środki finansowe, przeto należy, aby Związki sprawę tę przedstawiły rządowym czynnikom oświatowym i uzyskały niezbędne fundusze, które powinny znaleźć swe miejsce w budżetach państwowych władz oświatowych".

d) „Kongres zaleca swoim członkom, aby popierali, lub brali czynny udział, na terenie swego kraju, w każdem poczynaniu, którego celem jest służenie idei pokoju. Ocenę, jakiej akcji pokojowej należy udzielić poparcia, pozostawia kongres danej organizacji".

e) Dodatkowo przyjęto uchwałę: „Kongres przypomina przyjętą na poprzednim kongresie w Berlinie uchwałę o prawie mniejszości narodowych do kulturalnej autonomji, przez którą to uchwałę kongres nie ma zamiaru mieszać się do spraw politycznych, jedynie zaś pedagogicznego stanowiska domaga się dla dzieci każdej narodowości prawa i zapewnienia, obok urzędowego języka państwowego w szkole, nauki w języku ojczystym oraz możności pielęgnowania swej kultury narodowej. Kongres domaga się, aby układy pokojowe, które zawierają zagwarantowanie tych właśnie praw mniejszości narodowych były szanowane".

Zagadnienie 5: „Szkoła, kościół i państwo" nie dało się znów ująć w rezolucję, któraby zadowalała wszystkich zrzeszonych. Poprzestano zatem na ogólnej dyrektywie: „M. F. S. N. opierając się na materjale ankietowym o stosunku szkoły, kościoła i państwa w różnych krajach, wypowiada opinję za szkołą neutralną, niezależną, powszechną i państwową. Szkoła powinna być tak zorganizowana i urządzona, aby w niej znaleźć się mogły dzieci wszystkich rodziców bez względu na wyznanie, czy światopogląd i by w szkole tej z powodu wyznania czy światopoglądu rodziców dziecko nie było narażone na przykrości".

Oto są idee, które za pośrednictwem Związku będą się infiltrowały w umysły mas nauczycielskich.

Tym „obcym ajenturom" powinniśmy przeciwstawić własną myśl pedagogiczną, wynikającą ze zrozumienia rzeczywistości polskiej i jej potrzeb, zmierzającą do wychowania młodzieży w myśl tych realnych potrzeb a przeciwstawiającą się poświęcaniu ich dla utopij.

K. KLIN.

NAUKA I LITERAUTRA

EWANGELICZNA OPOWIEŚĆ O MIŁUJĄCEM SERCU LUDZKIEM

TAKICH ludzi i twórców, jak Jan Wiktor*), rzadko się w dzisiejszych czasach spotyka. Typ to entuzjasty-marzyciela, obcego zupełnie kramarskiej zgiełkliwości współczesnego życia, typ apostoła, głoszącego w swych serdecznem uczuciem pisanych dziełach, ewangelję święto-franciszkańskiego miłosierdzia dla wszelakiego żyjącego i cierpiącego stworzenia. Stąd, obok niezaprzeczalnych walorów artystycznych, wysokie wartości etyczne jego tworu, niestety, jak dotąd, należycie nie ocenionego, chociaż autora „Burka" zaliczyć należy do najwybitniejszych pisarzy z pośród pokolenia młodszych prozaików polskich.

Jan Wiktor (ur. 1891 r.) rozpoczął swą karjerę literacką w r. 1914, ogłaszając w pismach codziennych swe pierwsze opowiadania na tle zdarzeń wojennych osnute. Potem, począwszy od r. 1920 ukazało się kilka jego większych opowieści, z których jednak tylko cztery wiążą się z właściwym rodzajem twórczości Wiktora, a to: „Przez łzy" — rzewna historja o biednym pastuszku-góralczyku Wojtusiu, znajdującym jedynie wśród ptasząt serdecznych przyjaciół w swej sierocej doli; „Burek" — obszerna biografja wiejskiego podwórzowego kundla z opisem tragicznych perypetyj jego psiej, bezdomnej nędzy, rozpoczynającej się z chwilą przymusowego opuszczenia wsi; przecudna, pełna rzewnego liryzmu i najczystszej poezji, „Legenda o grajku Bożym", szarym skowronku, co śpiewem swoim umilał ostatnie dnie Chrystusowego żywota i towarzyszył Mu w drodze na Golgotę, a zabity był włócznią żołdaka, gdy spieczone wargi Ukrzyżowanego chciał zwilżyć kroplą rosy różanej; wreszcie opowieść o „Srogim psie i sentymentalnym zającu", gdzie na tle życia miłego zwierzyńca, hodowanego na wiejskiem podwórku przez wielkiego miłośnika zwierząt p. Samborskiego, zarysowuje się tragiczny antagonizm między nowym faworytem, oswojonym zajączkiem Kubusiem a zazdrosnym o względy pana, przywiązanym psem Komornikiem, który wkońcu morduje intruza, dopadłszy go w chwili sentymentalnego zasłuchania w tony muzyki.

Mieliśmy już w Dygasińskim nieporównanego malarza życia przyrody i zwierząt. Wiktor ma bezwątpienia wiele cech wspólnych z autorem „Godów życia", nie jest jednak jego niewolniczym naśladowcą. O ile bowiem Dygasiński zajmuje się raczej zewnętrzną, obyczajową strona życia zwierząt, o tyle Wiktor przedewszystkiem zwraca uwagę na ich psychikę, starając się wniknąć do ich wnętrza, zrozumieć ich myśli i troski, odczuć ich radości i bóle. W odtwarzaniu zaś tajemnic duszy zwierzęcej nie ułatwia sobie autor „Burka" zadania przez uczłowieczenie psychologji swych czworonożnych bohaterów, lecz usiłuje wyprowadzić sposób rozumowania czy odczuwania zwierząt z ich odrębnej, samoistnej psychiki, obdarzając jedynie tych wiernych towarzyszów naszego życia darem mowy ludzkiej. Przytem wpadł Wiktor na szczęśliwy pomysł, aby w wypowiedzeniach zwierząt posłużyć się stylizowaną gwarą ludową z odpowiednim doborem przenośni, porównań i wogóle wyrażeń, zaczerpniętych ze ściśle zwierzęcego zakresu wrażeń i obserwacyj. Owo odkrycie duszy zwierząt — to główna nowość, jaką twórczość autora „Burka" przynosi.

Nawskroś oryginalne jest również osobiste stanowisko Wiktora wobec zwierząt i wogóle przyrody—stanowisko nawskroś uczuciowe, opierające się nie na chłodnych spostrzeżeniach uczonego, lecz na serdecznem, braterskiem współżyciu, na szczerem, głębokiem, franciszkańskiem umiłowaniu wszelakiego boskiego stworzenia. Gwarzący z ptaszkami Wojtuś („Przez łzy") artysta-malarz Mazurkiewicz, przygarniający Burka, pan Samborski hodujący u siebie na wsi cały zwierzyniec, uboga straganiarka Włodarczykowa („Tęcza nad sercem"), ci samotnicy, niezrozumiani, często nawet krzywdzeni przez ludzi, a znajdujący najwierniejszych przyjaciół wśród zwierząt —to reprezentanci osobistego stanowiska autora wobec zwierzęcego świata oraz wyraziciele jego charytatywnego światopoglądu, w którym ludzkość zwierząt przeciwstawiona jest nieraz zwierzęcości ludzi. Otóż ta uczuciowość, tchnąca duchem święto-franciszkańszkich „*Fiorettów*", a nadająca liryczny charakter całemu tworowi Wiktora, to apostołowanie miłosierdzia—to są najbardziej indywidualne a równocześnie plemienne słowiańskie cechy, odróżniające autora „Burka", od wszystkich innych malarzy życia zwierząt: Kiplinga, Londona, Curwooda, nie wyłączając nawet naj-

---

*) J. Wiktor: „Tęcza nad sercem" Poznań 1929. Nakład księgarni św. Wojciecha).

bliższego mu Dygasińskiego, na którego jednak uczuciowości zaciążyło wychowanie w atmosferze pozytywistycznej.

Obok zwierząt, szczególnem zainteresowaniem otacza Wiktor wszelaką biedotę ludzką, dla której niedoli ma słowa serdecznego współczucia oraz błogosławieństwo wszystko rozumiejącego przebaczenia. Głęboka, wyrozumiała dla słabości i błędów miłość łączy tęczą braterskiego przymierza serce pisarza z sercem człowieka. Blask tej miłości bije ze wszystkich utworów Wiktora, w ostatniej jednak jego powieści p. t. „Tęcza nad sercem" (Poznań 1929. Nakład księg. św. Wojciecha) uczucie to wyraziło się taką potęgą i w takiej pełni, iż książka ta urosła nieomal do godności postylli, głoszącej Dobrą Nowinę miłosierdzia dla wszystkiego, co żyje i cierpi w męce istnienia. Książka to pełna serca i pogody, książka jasna i dobra, która treścią swą nietylko wzrusza i przejmuje, ale wprost czyni człowieka lepszym, każąc mu inaczej patrzeć na świat i ludzi, oraz ucząc go miłości i przebaczenia.

Jako przejście ku głębszemu zajęciu się człowiekiem stanowi ta ostatnia praca Wiktora znamienny etap w rozwoju jego twórczości. Wprawdzie i tutaj świat zwierzęcy odgrywa poważną rolę i reprezentowany jest przez całą galerję stworzeń, jednakowoż główną postacią jest stara, uboga gazeciarka Włodarczykowa, „święta ulicy, patronka nędzarzy", której „stragan był świątynią dobra", a czyny doskonałem wypełnieniem ewangelicznej zasady Wielkiej Miłości. Ongiś gospodyni wiejska, przez męża-pijaka, który przepił cały dobytek, doprowadzona do ostatniej nędzy, żyje na bruku miejskim, utrzymując się z rozprzedaży gazet i zapałek. Przyniosła ze sobą do miasta nieukojoną tęsknotę za wsią — rajem na ziemi oraz duszę wiejską, sielską, prostą, jasną i czystą. Życie nie szczędziło jej cierpienia, ludzie — zła. Lecz Włodarczykowa na los nie sarka, cierpienia uważa za łaskę i zasługę, przez którą człowiek z grzechów się oczyszcza. Za zło odpowiada—dobrem, za przekleństwo—błogosławieństwem, za krzywdę — przebaczeniem. Bije w jej sercu żywa krynica miłości. Choć sama nędzarka, staje się opiekunką nędzarzy. Koło jej kramiku zbierają się po dobre słowo i kęs żebraczego chleba, zgłodniałe, obdarte dzieci ulicy, psy-włóczęgi i gromady ptactwa. Dzieli się z niemi okruchami swego nędznego pożywienia, skarbami swej nieprzebranej miłości. Wdzięczność ich jest jej bogactwem, a spełnienie dobrego uczynku napełnia jej duszę pogodą, „tym uśmiechem Boga", i oto straganiarka, przebrana w habit żebraczych łachmanów, przemienia się w najżarliwszą wypełnicielkę reguły miłosierdzia i najzasłużeńszą z sióstr świętego Biedaczyny z Assyżu, którego wizja nawiedza ją w noc wigilijną, jako zapowiedź zabrania strudzonej pracownicy Bożej na odpoczynek wieczny.

Jest ta książka ewangeliczną opowieścią o miłującem sercu ludzkiem. Głęboko wzruszający patos, który Wiktor umie wydobywać z szarej powszedniości, z codziennego bytowania, z uczynków cichych i prostych (np. pojednanie Włodarczykowej z dogorywającym mężem — pijakiem), łączy się tu z wzniosłym powiewem legendy, jak np. w owej scenie wigilji, gdy Dziecię Boże schodzi z kamiennego cokołu ulicznej kapliczki, żeby wraz z zebranemi koło dobrej babki dziećmi i stworzeniami „zaśpiewać najradośniejszą pod słońcem pieśń o uśmiechu miłości, który narodził się w żłobkach serc ludzkich".

Nie wdając się w szczegółowe omówienie stylu i języka powieści Wiktora, ograniczymy się do zaznaczenia, że styl to nawskroś samorodny, prawdziwie poetycki, ściśle sharmonizowany z treścią, język żywy, wyrazisty, bogaty.

Zajęcie się tematami z życia biedoty ludzkiej, zainicjowane na szerszą skalę w „Tęczy nad sercem" ma zostać pogłębione w dwóch dalszych, będących na warsztacie powieściach Wiktora, z których pierwsza p. t. „Wdowy" związana jest z problematem miłości macierzyńskiej, druga p. t. „W podziemiach życia" odkryje przed nami dantejski obraz wielko-miejskiej nędzy. Również ostatnia podróż po Francji, jak się dowiadujemy, została przedsięwzięta specjalnie w celu zebrania materjałów do powieści z życia polskich robotników — emigrantów. W najbliższych dniach ma się ukazać w nakładzie Krak. Tow. bibljofilów zbiór opowiadań p. t. „Gołębie przy kościele". Pozatem w rękopisie spoczywają gotowe prace: „Eros na podwórzu" i powieść o współczesnym Krakowie literackim p. t. „Zwarjowane miasto".

RAJMUND BERGEL

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

W tych dniach ukazał się nr. 5—6 „Awangardy", miesięcznika Młodych — za maj i czerwiec b. r. Jak zwykle zeszyt ma treść bogatą i urozmaiconą, dając bardzo dużo materjału do poznania oblicza duchowego młodego pokolenia.

Na wstępie spotykamy artykuł S. W. p. t. „O czynną postawę", w którym autor omawia ostatnie wystąpienia młodzieży narodowej. Następuje artykuł Stefana Niewiadomskiego „Ideał rycerski", i dalszy ciąg doskonałego studjum p. Jana Mosdorfa p. t. „Typy społeczne jako wynik wychowania ugrupowań politycznych". Dalej znajdujemy obszerne wspomnienie pośmiertne o ś. p. Stanisławie Szaynie, przedwcześnie zmarłym wybitnym działaczu narodowym — oraz „Uwagi" pióra p. Jana Okolskiego.

Bardzo obfity jest dział sprawozdawczy. Na wstępie jego spotykamy „Przegląd miesięczny", omawiający politykę wewnętrzną, życie gospodarcze i politykę zagraniczną. Następują działy: „Młodzi przeciw prowokacjom niemieckim", „O czystość kultury polskiej", „Polacy zagranicą", i obszerna kronika Ruchu Młodych.

Prenumerata „Awangardy" roczna wynosi 10 zł., półroczna 5 zł., dla młodzieży ceny są niższe o połowę.

Najlepiej wpłacać prenumeratę na konto czekowe P. K. O. Nr. 203.851. Adres redakcji i administracji „Awangardy", Poznań, Św. Marcina 65, tel. 19-49.

*

Jako odbitka z „Ruchu Słowiańskiego" (zeszyt 5-ty. 1929 r.) wyszła rozprawa Jana Bronisława Richtera p. t. „Rola krytyki literackiej w Rosji Sowieckiej" (Lwów, str. 17).

Autor w pracy swojej informuje nas o kierunkach oraz metodach badań literackich w Rosji Sowieckiej. Fundamentem całej humanistyki jest tu materjalizm historyczny Marksa i Engelsa. Krytyka literacka wychodzi również z jego założeń. Marksiści przyjmują, że w twórczości artystycznej główną rolę odgrywają czynniki gospodarcze, przez usta zaś jednostki twórczej przemawia jej grupa społeczna. Kryterja oceny dzieła literackiego są wybitnie utylitarne. Łunaczarskij, znany „myśliciel" sowiecki i komisarz do spraw oświaty, wypowiada się w tej mierze w ten sposób: „wszystko, co sprzyja rozwojowi i zwycięstwu sprawy proletarjackiej jest dobrem, wszystko zaś, co jej szkodzi, jest złem". Podług innego teoretyka literatury (Polanskij), twórczość literacka powinna współdziałać w organizowaniu życia rosyjskiego, t. j. służyć dyktaturze proletarjatu i umacniać socjalizm. Zadaniem krytyki literackiej jest, między innemi, zaznaczać wszelkie sprzeniewierzenia się tej misji.

Do ciekawych uwag autora dodajmy jeszcze i tę, że krytyka literacka Rosji przedsowieckiej niezbyt się różniła od tej, jaka panuje w Rosji dzisiejszej. Pisarewy, Czernyszewscy, Dobrolubowy i t. p. koryfeusze krytyki literackiej rosyjskiej, wychodzili z tych samych założeń materjalizmu i utylitaryzmu, co dzisiejsi krytycy sowieccy. A i nam nie były one obce: p. L. Krzywicki, znany socjolog, tak samo łączył ściśle formy twórczości literackiej z „formami produkcji" i t. p.

*

W nakładzie Fiszera i Majewskiego w Poznaniu wyszła książeczka St. Papée'go, poświęcona życiu i działalności Bernarda Chrzanowskiego, jednego z najdzielniejszych obrońców polskości w b. zaborze pruskim i „Chałubińskiego polskiego morza",

Z zamiłowań i studjów historyk, porzuca Chrzanowski wcześnie prace naukowe i objąwszy stanowisko w adwokaturze poznańskiej, całą duszą oddaje się pracy kulturalno - oświatowej, zakłada towarzystwa, wygłasza dziesiątki odczytów z zakresu historji Polski, szerzy kult wielkich ideji narodowych, wykreśla linje wychowania narodowego opartego na wielkich tradycjach. Prócz tego jest posłem do Parlamentu Rzeszy niemieckiej, gdzie nieustraszenie broni sprawy polskiej, co zresztą czyni zawsze i wszędzie. Gorący miłośnik Bałtyku polskiego, który zwiedził wielokrotnie, starał się zainteresować nim pisarzy polskich z Sienkiewiczem na czele. W Żeromskim znajduje najgorętszy oddźwięk. Na podstawie przytoczonych listów możemy śmiało twierdzić, że „Wiatr od morza“ literatura polska zawdzięcza wpływowi Chrzanowskiego.

W odrodzonej Polsce, obejmuje stanowisko pierwszego kuratora szkolnego w Poznańskiem i rozwija niezmordowaną działalność organizatorską. W sumie — czterdzieści lat pracy dla Polski. Dziś, usunąwszy się w zacisze, zaiste ma „*panem bene merentium*“. Obszerna bibljografja uzupełnia książeczkę — aktualną i pożyteczną.

*

Związek Obrony Kresów Zachodnich wydał zbiór szkiców p. B. Kretowicza pod tytułem „Wiatr od Polski“. Ładnie wydana książka ma służyć sprawie pogłębienia i zainteresowania ogółu polskiego morzem polskiem. Autor jednak zbyt mało zżył się z wybrzeżem i niewiele ma w swej wyobraźni, względnie we wspomnieniach wątków, choć np. legendę miejscową o Helu opracował ładnie. Zajmujący też jest, rzekomo autentyczny, pamiętnik chłopca zniemczonego na obczyźnie, a odradzającego się podczas wakacyj w Polsce, zorganizowanych jak wiadomo dla dzieci polskich zzakordonu, przez Z. O. K. Z. Naogół jednak trzebaby do celów propagandowych pióra większej jędrności.

*

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Powieść „*Les Varais*“ inaguruje nową kolekcję, noszącą tytuł „*Pour mon plaisir*“. Składać się bowiem na nią będą utwory, wybrane przez samego jej wydawcę p. Bernarda Grasset, według jego osobistych upodobań literackich. Ciekawym zbiegiem okoliczności, pierwszym autorem, debiutującym w tej kolekcji, jest inny wydawca, a mianowicie p. Boutelleau, piszący pod pseudonimem Jaques Chardonne.

Akcja ostatniej jego powieści toczy się w majątku „*Les Varais*“. należącym do sterego Devermond, dla którego jedyną racją bytu jest uprawiana przezeń ziemia. Przy nim żyje syn jego, Frederyk, niby oddający się malarstwu, który poślubia Marję, piękną i bogatą pannę z sąsiedztwa. Jednakowoż interesy Devermonda idą coraz gorzej. Wówczas Frederyk z pomocą bankiera rodzinnego, obejmuje ster rządów. Stara się on co prawda zredukować wydatki, zwiększyć produkcję, ale pomimo wszystko grozi im ruina. Słaby Frederyk potrzebuje kozła ofiarnego swojej nieudolności. Staje się nim jego własna żona, którą oskarża, że nie jest tą istotą, jaką przypuszczał, że będzie, gdy ją zaślubiał. Majątek zostaje sprzedany: kupuje go intendent rodziny Devermond, który ją systematycznie okradał. A wtedy tych troje ludzi—stary Devermond, Marja, Frederyk — umierają znienawidziwszy się wzajemnie. Książka zawiera cały szereg rozdziałów, rzucających ciekawe światło na życie i koniec rodziny ziemiańskiej, której historja pozornie mogłaby być uważana za banalną, gdyby właśnie życie ludzkie nie składało się z całego szeregu drobnych porypetyj, doprowadzających jednakowoż do istotnego dramatu.

*

„*Maria de Toulon*“ (Flammarion edit.) to ostatnia powieść p. Albert Flament: Jak wskazuje tytuł, akcja jej toczy się w Tulonie, tym niezmiernie barwnym porcie południowej Francji. W niedaleko od niego położonej miejscowości Menton zamieszkuje rzeźbiarz utalentowany, z pochodzenia Niemiec, którego żona jest Bretonką. Od dłuższego już jednak czasu żywi on tylko dla niej uczucie głębokiej przyjaźni i zdaje mu się, że i w jej sercu także miłość wygasła. Jako artysta poszukuje on jednakowoż nowych wrażeń i nowych kobiet, mających mu służyć za źródło natchnienia. Jedną z takich spotyka w Tulonie, w pierwszej lepszej kawiarni. Jest nią Marja, handlująca na prawo i na lewo swojemi wdziękami. Rzeźbiarz zakochuje się w niej, gdyż uosabia dla niego maskę kobiety, jaką od dawien dawna pragnął odtworzyć, a jaka miała poniekąd być syntezą jego talentu. Pod pretekstem sztuki sprowadzić chce ja do Menton. Żona jego zdaje się na to przystawać, ale nie przestaje cierpieć. Tymczasem Marja znika. Artysta odnajdzie ją potem w Bourges, w domu rodziców, gdzie poślubiła młodego marynarza. Jego żona natomiast porzuci go, nie mogąc dłużej znieść podobnej egzystencji. Powieść ta, bardzo finezyjnie przeprowadzona posiada przedewszystkiem tę specjalną atmosferę, dzięki której pospolite środowisko zostaje przez autora-artystę wyniesione do prawdziwie szlachetnego nastroju.

*

Nasza epoka dąży do zniewelowania wieku. Dlatego też niema już dzieci, ale nie istnieją i starzy. Do utrzymania zaś tej „wiecznej“ jakkolwiek oczywiście sztucznej młodości, kobiety zwłaszcza uciekają się do najrozmaitszych środków. Na ten to temat znany powieściopisarz, p. Henri Duvernois napisał książkę p. t. „*Beaute*“. Jest ona niezawodnie ostrą satyrą na współczesne obyczaje, ale równocześnie zawiera dużo filozofji życiowej. Germaine Arbigeont ma wyjść za mąż. Jednakowoż w ostatniej chwili narzeczony zaczyna poważnie flirtować z jej najlepszą oczywiście przyjaciółką. Zrozpaczona panna przypisuje to niepowodzenie swemu noskowi. Ponieważ zaś jej matka poprzednio już poddała się różnym przykrym operacjom odmładzającym, chcąc w ten sposób pozyskać miłość niewiernego małżonka—co jej się zresztą nieudaje — przeto i córeczka postanawia iść w ślady mamusi. Nos zostaje, według dostarczonego modelu przerobiony. Odzyskuje ona coprawda narzeczonego, ale jeżeli ten ożeni się z nią, to dlatego przedewszystkiem, iż jest bogatą, co mu nie przeszkodzi jednakowoż, pomimo metarfozy nosowej być płochym i posuwać bardzo daleko flirt z innemi kobietami.

*

Autorem „*Vie de Bianca Capellò*“ (Jules Tallandier edit.) jest p. Pierre Gauthiez. W utworze tym przesuwa się przed oczami czytelnika cały przepych włoskiego Renesansu, gdyż autor jest jego doskonałym znawcą. Bianka, młode, weneckie dziewczę, zostaje w piętnastym roku życia porwaną przez florenckiego awanturnika. Oboje uchodzą prześladowaniom ustaw weneckich. Po ucieczce, Bianka dostaje się do Florencji. Tam to poznała następcę tronu, który zakochuje się w niej na zabój. Bianka niezna przeszkód. To też staje się ona wielką księżną Toskanji, dostaje z rąk papieża różę złotą, a także wspaniały naszyjnik z djamentów, będący darem tejże samej Republiki Weneckiej, która chciała ją poprzednio zaaresztować i skazać na wieczne więzienie...

Etapy tego nadzwyczajnego życia i wczesnej śmierci bohaterki są opowiedziane z ogromną znajomością epoki. Na jej tle przesuwają się nadzwyczajne postacie renesansowe i ich życie, przepełnione miłością, intrygami, oraz spiskami poprzez które mieszają się sceny bojów zwycięskich i krwawych mordów.

*

P. Guy de Pourtales, autor życia Chopin'a poświęca swą ostatnią pracę Ludwikowi II, Bawarskiemu. Tytuł jego książki określa najlepiej, w jaki sposób autor ujął tę biografję, gdyż brzmi on: „*Louis II de Baviere ou Hamlet roi*“. (Gallimard edit.). W ujęciu p. Pourtales'a jest on też podwójnym manjakiem, a mianowcie, manjakiem samotności i muzyki, a nie skończonym warjatem, jak go niektórzy przedstawiają. Autor odmalowuje nam też przedziwne życie tego monarchy z jego niesłychanemi kaprysami, nieobliczalnym charakterem, warjactwami konstytucyjnemi. a wreszcie admiracją bezgraniczną dla Wagnera. Ludwik bowiem narzucił niejako go publiczności, podobnie jak dla niego stworzył Bayreuth. Z kolei, przesuwa się w tej książce sylwetka Nietschego, widmo wojny 1870 r. i w akordach tragicznych przedstawiona śmierć zagadkowa nad brzegami jeziora Starnberg. Książka ta jest też właściwie szeregiem wizyj przejmujących, a głęboko przykuwających uwagę czytelnika.

*

Panna Paule Regnier publikuje, „*Heureuse Faute*“. Bohaterką tej powieści jest Helena Helsonne. Mąż jej był znanym kompozytorem muzycznym. Helena z jego powodu cierpiała, a po śmierci męża z pewną zazdrością czuwa nad drogiemi jej wspomnieniami. Ale i ta miłość nie da jej spokoju. Helena bowiem przygarnia nieszczęśliwą swą przyjaciółkę, Ariane, ale odkrywa, iż ta zdradziła ją z jej mężem. Pośmiertna zazdrość w jej duszy wzrasta. Helena coraz bardziej cierpi. Wówczas szuka najpierw zapomnienia w zemście, bo wypędzi Ariane, nie mającą żadnego innego przytułku. Ten gest jednak nie przyniesie jej żadnego ukojenia. Co uczynić, by zmienić bieg swych myśli i swych cierpień? — Helena sprobuje innej miłości, ale ta wykaże tylko jej nędzę moralną. Wreszcie, zrozpaczona kobieta, stanie przed konfesjonałem, oskarżając się o wszystkie popełnione względem siebie i innych przestępstwa. Klęczącej grzesznicy, ksiądz powie: ponieważ potrzebujesz sama przebaczenia to przebacz innym; ponieważ potrzebujesz miłosierdzia, to musisz wyrzec się sprawiedliwości nieludzkiej; zło jakie uczyniłaś tej kobiecie, należy naprawić. Przez cały szereg perypetyj, zawartych w tej książce, przesuwają się też medytacje głębokie, świadczące, że autorka stara się sięgnąć do głębi dusz, tych wszystkich, których cierpienia i zwątpienia ujęła w swojej powieści nietylko w sposób literacki, a przedewszystkiem ludzki

OFENSYWA

„KAKADEMJA“ WE „FAJDANJI“?

P. POSEŁ Niedziałkowski lat temu siedem w r. 1922, 14 listopada pisał w „Robotniku“ w artykule p. t.: „Legenda (*sic*) faszyzmu“ co następuje:

„Zachwyty „Myśli Narodowej“ i p. Nowaczyńskiego dla faszyzmu robiły narazie wrażenie komiczne. Dzisiaj sprawa przedstawia się o wiele poważniej, w październiku r. 1922. Od czasu przewrotu Mussoliniego we Włoszech entuzjazm ogarnął całą prasę prawicową“....

Dzisiaj zaś w r. 1929 sprawa przedstawia się jeszcze poważniej. Zachwycających się „faszyzmem“ jest już sporo. Nawet rozmaitemi odmianami i fałszowanemi naśladownictwami Mussoliniego zachwycają się tacy, co siedem lat temy nie mogli znosić dźwięku nazwiska: Mussolini.

Nic zresztą dziwnego, że faszyzmem italskim twórczym, owocnym, faszyzmem z piewszej ręki zachwyca się już nie tylko „prawicowa prasa“... ale np. i... G. B. Shaw, bożyszcze lewicowej prasy wszystkich narodów. Ale skoro wszędzie rozmnożyło się już teraz tylu „zachwycających się“ faszyzmem, to dla tych, którzy pierwsi dostrzegli jutrzenkę Mussoliniego na jeszcze ciemnym nieboskłonie Italji z r. 1922, tem samem rodzi się przywilej dostrzegania też drobniutkich plamek na wspaniale jarzącem się słońcu.

Taką drobną plameczką byłby dla każdego interesującego się piśmiennictwem Italji, skład i zespół powołanej świeżo do życia rzymskiej Akademji Nieśmiertelnych.

Porusza się ten temat z tej racji, że przedewszystkiem wszystko, co italskie obchodzi nas jak najgoręcej i to nie teraz dopiero, ale od niepamiętnych czasów, kiedy to w jednej z pierwszych polskiej książce z polskiemi rymami, Marcin Bielski *anno Domini* 1580 pisał:

„Ale dziś leda ślachcic. by się też zastawić.
Musi się do tych Włoch, widzieć świat, wyprawić“.

Po drugie zaś z tej racji, że i u nas wałkuje się ciągle przedwcześnie, i nie w porę sprawę swojskiej Akademji. Właśnie w erze przejściowej mocnego przemęczenia i wyczerpania, kiedy indywidualności pisarskich na wielką skalę już, czy jeszcze niema, kiedy front sceny zajął i akkaparował chór statystów bardzo ruchliwych, krzykliwych i obrotnych, ale niższego fasonu i stylu, mało zróżniczkowanych, o intelektach szarawych i pospolitych, a manjerach bezceremonjalnych, właśnie w tym okresie drobnoustrojów szybko przemijających i na dożywocie w sławie skazanych, rozlega się duży i natarczywy hałas o Instytut, nieśmiertelność rzekomo gwarantujący. Drepce koło tego „kręgu interesów“ i *larum* duże wyczynia kilku starszejszych młodzieńców, w gorącej ambicji kąpanych, do pełnego sukcesu tęskniących, powodzeńkami na małą skalę się nie kontentujących, a że z małomieszczańskich czy kulisowych środowisk się wywodzących więc wyjątkowo na wszelkie dostojności wygłodzonych, rozżartych i zawziętych. Miraż o zielonych fraczkach, w którychby się teraz pokazali symplistoskim swym środowiskom, nie daje spać tym Tantalom, od dwóch lat już te Stendhaloskie Sorelątka ćwierkające to miłemi noweleczkami to sprośnemi gorszycielstwami, piłują i piłują o tę Akademję rząd miłościwy, i jakgdyby się bali panicznie, że im i talenciku i imaginacji wystarczy już tylko na zbyt krótki okres, czyhają na przedwczesną synekuemeryturę. Nie było Akademji Nieśmiertelnych, gdy żyli: Rzewuski, Korzeniowski, Kaczkowski, Szujski, Kraszewski, Deotyma, Lenartowicz, Ujejski. Nie było Akademji, gdy pisali Sienkiewicz, Prus, Orzeszkowa, Asnyk, Konopnicka i Dygasiński, nie doczekali się Akademji, ani jej projektodawca Żeromski ni Wyspiański, Kasprowicz, Reymont, obeszliby się bez Akademji: Weyssenhoff, Rostworowski, Świętochowski, a natomiast „napraszają się pierniczka“ rozmaite fircyki w zalotach oraz dziwne nowoczesne typy artystów, którym nie schodzą z ust takie słowa jak: podaż, pokup, kalkulacja, racjonalizacja, „rynki zbytu“ i t. p. Tymczasem własnie faszystowska Italja dostarcza przykładu na to, że z montowaniem pośpiesznem takiej Akademji nie zawsze idzie świetnie. Z powodu tysiąca kolizyj i komerażów do tej dziwnego nabożeństwa Akademji nie weszli zgoła pisarze pierwszej gildji, klejnoty korony włoskiej, a przedostało się natomiast kilka postaci pokątnych i przypadkowych. Na pierwszych trzydziestu uczonych i literatów figurują:

Romagnoli, hellenista filolog, Formichi indolog, Trombetti Etruskolog, dalej Panzini gramatyk i ramotopisarz, oraz przejrzyst Beltramelli. Tylko na omastę do tej listy mało znanych person dodano nazwisko Pirandella.

Literatura natomiast w tem *menu* świeci swoją nieobecnością.

Nie wprowadzono kilku wybitnych opozycjonistów (np. Benedetto Croce), nie wciągnięto na regestr i znakomitych pisarzy faszystowskich. Niema tedy Gentilego, niema senatora E. Corradiniego (świeżo autora „Charlotty Corday“ i „Juljusza Cezara“, niema Giovanni Forzano (autora „Piotra Wielkiego“). Socjolog Enrico Ferri, exsocjalista a ostatnio faszysta został też poza parkanem nieśmiertelności. Niema poetki ludu pracującego, żyjącej na odludziu Ady Negri. Niema laureatki Nobla Grazii Deleddy. Niema Anne Vivanti.

Niema księcia di Monte Nevose Gabrjela d'Annunzio, którego komplet dzieł w pomnikowem, luksusowem wydaniu jeszcze rok temu wydany nakładem rządu jako edycja państwowa.

Niema dalej w Akademji Rzymskiej takich tuzów literatury obecnej jak Papini, Puccini, Ugo Ojetti.

Niema Bontempellego i Niccodemiego, ani Chiarellego, ani Rosso di San Secondo.

Niema Adriano Tilgher, Salvatore Gotta, Virgilio Brocchi, Moretto, Francarolli, Bezzini, Veneziani, Guido Rocca.

Są natomiast Formichi i Trombetti. Ale kto w Italji czytał Trombettiego i Formichiego? I kto będzie czytał nawet gdy fama rozgłosi, że są „immortele“?

I jest jeszcze ten bajeczny humbugista i finansista Marinetti, autor „Dobosza Ognistego“ a sam czysto cyrkowy pyrotechnik, puszczający dawniej nihilistyczno-anarchistyczne szmermele a potem maksymy trawesujące Hegla i Bismarcka...

Czy tak skonstruowana i rozbudowana Akademja może przyczynić się do wzrostu prestiżu piśmiennictwa italskiego?

A jeżeli tak poszło, tak się nie wydarzyło z Akademją w wspaniałym pałacu Farnesiny zdobnym freskami Giulia, Romana jakże się może stać z Akademją, która prawdopodobnie dostanie *locum* w Palazzo „Astorja“ czy też „Villa Fajdanja“ w żadne freski, jak wiadomo, dotąd niezdobnej?

Nie! Stanowczo: „zawcześnie kwiatku zawcześnie“! Bardz „szlachetna“, pochwały godna jest ta u tych młodych starców namiętna żądza naciągnięcia rządu, roztarasowania się przy żłobkach i pójścia literatury na utrzymanie dyktatury. Pięknym kostjumem jest też zielony fraczek, szpadka w pochwie, a może i piróg na łysawej główce.

Ale na to fundować taki kosztowny instytut, żeby w nim wysiadywali fotele nadwiślawcy: Panrini, Beltramelli i Trombetti.. a poza Akademją byli E. Corradini, G. Gentile, d'Annunzio, Ojetti Deledda, no to niema najmniejszego sensu.

Wprost zaś bolesneby było, gdyby Akademja taka (nieco smorgońska a nieco dziadowska) u nas powstała, a złośliwym psikusem losu nie zdołały wepchnąć się do niej te dwa ambicjami kipiące i wrzące Ajeksy (z Krakówka i Warszawki), które teraz najwięcej i najpiskliwiej o nią gardłują, kołysząc się nadziejami, że pierwsi w niej zasiądą choćby na... strapontenach..

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Dziennik „Głos Prawdy“ przypomniał sobie nagle zwycięską obronę Verdun i dnia 25 b. m. umieścił na czele numeru dytyramb na cześć bohaterskiego miasta p. t. „We krwi Twojej żyw“!... Zabawna jest pompatyczna forma tego wypracowania, jego sztuczny i wymuszony patos: takim szumnym, „górnolotnym“ stylem posługują się niekiedy małomiasteczkowi spryciarze, jeżeli wypadnie im rozprawiać o zagadnieniach trudnych i zupełnie sobie nieznanych; takim stylem byłby np. pisany referat pana Zołzikiewicza o duchu rycerskim i honorze...

Rozpisując się szeroko o związkach, zespalających naród nasz z miastem bohaterów, „Głos Prawdy“ zapomniał wymienić ważnego faktu, że to właśnie bohaterskie Verdun pierwsze ofiarowało sztandar jednemu z pułków tworzącej się armji polskiej... Zapomniał, bo... dnia 22 czerwca 1918 r. sztandar ten wręczał żołnierzom najwyższy wówczas reprezentant władzy polskiej, prezes Komitetu Narodowego, Roman Dmowski...

*

W tymże numerze „Głosu Prawdy“ znajduje się artykuł wstępny, poświęcony dziesiątej rocznicy Traktatu Wersalskiego. Czytający ten artykuł, nie domyśliliby się nigdy, że i Polska należała do rzędu państw, które traktat powyższy podpisały. O udziale Polski w Traktacie nie wspomina „Głos Prawdy“ ani słówkiem, rozprawiając o nim, jakby o czemś, co dokonywało się całkowicie bez nas i poza nami, takim tonem, jakim pisałby np. o traktacie pomiędzy Boliwją i Paragwajem... Nędzne, małe, zakłamane duszyczki...

Czas odnowić prenumeratę „Myśli Narodowej“, co wynosi na III kwartał 9 zł., a do końca roku tylko 17 złotych.

Nieopłacone egzemplarze za kwartał II zostaną wstrzymane.



Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P.K.O. 3.105

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM